

# *Mikroświaty*

*Jan Jakub Kolksi*

Projekt okładki i karty tytułowej *Stasys Eidrigewicius*

Redaktor *Katarzyna Merta*

Korekta redakcyjna *Barbara Wiśniewska*

© Copyright by Jan Jakub Kolksi, Warszawa 2001

© Copyright by Wydawnictwo Książkowe Twój STYL, Warszawa 2001

ISBN 83-7163-385-8 >

Wydawnictwo Książkowe Twój STYL

Warszawa 2001

Wydanie pierwsze

Łamanie: Enterek

Druk i oprawa:

Pozkał Inowrocław

## SPIS OPOWIADAŃ

Umieranko

- czyli pięć bardzo ważnych kotów

Wspakosz

- czyli niewinne odwracanie świata

Kamienne chleby ciotki Maniusi

Dworusy

- czyli historia jednej kobyłki i dwóch światów

Szewska miłość

- czyli wielka odmiana Helenki B

Piorun

- czyli podziemne życie Władysława Lubickiego

Lipa wisielców

- czyli nieudana jesień w gmykowie

Landrynka

- czyli historia niezniszczalnych trzewików

Trzy szablony

- czyli oświadczenie w sprawie końca świata

Józef Pokutnik

- czyli sześć stacji do śmierci

Miłość Antoniego, życie Jana, śmierć Cygana

Tryptyk z czarną Ewulą po bokach

UMIERANKO, czyli pięć bardzo ważnych kotów

Na umieranie Więclawek wybrał najgorszą porę. Kto widział schodzić z ziemi na przednówek? Głupi wybór.

Do tego wiosna przydarzyła się nie taka jak należy. Nie dawała rady zawrócić zimy. Żadnym sposobem. Ani skowronkiem w powietrzu, ani psem szczekającym po mgle, ani nawet bocianem dygocącym z zimna na czworacznej wierzbie.

Deszcze mroziły się przy ziemi, ziarno rzucone pośpiesznie szkiło na polach, oczy bolały.

Taka to była pora.

Ze szpitala przyjechał Więclawek karetką. Całe czworaki wyszły na spotkanie: Edek, brat Więclawka, Mazurek z Mazurkową, Mierzwa z Mierzwową, Rzepecki z Rzepecką, Duda z Budową, do tego trochę usmarkanego drobiazgu, parę psów i Pipka - kocica Więclawka.

Z tą Pipką to nie wszystko było jasne. Niby każdy wiedział, że Pipka, ale skąd ta Pipka, kiedy Więclawek był niemową od urodzenia? Coś tam wprawdzie gadał paluchami, coś tłumaczył kiwaniem głowy, ale mało kto umiał toto odczytać.

Przy konieczności domówienia się z Więclawkiem, wołano sklepowego Ściborka, nauczycielkę Piotrowską, listonosza Giskę i Majczaka z klubokawiarni. Cztery osoby. Sklepowy czytał wtedy liczby z paluchów niemowy, listonosz przymiotniki, nauczycielka rzeczowniki zwykłe, a Majczak rzeczowniki grube, czyli te różne: macie, kurwancki i pipki. Od czasowników nie było specjalisty, ale też czasowników Więclawek nie używał. Za to na Pipkę bardzo się uparł. Żadne inne nazwanie, tylko Pipka. Tak postanowił, Majczak nijak nie mógł zrozumieć. Wgapił się w rozbiegane paluchy, ale nie umiał wyczytać Pipki. Na koniec zeźlony ułapił kocię za skórę i miotnął nim gdzie popadło. Popadło na podolek nauczycielki.

- Moja pipka - krzyknęła podobno nauczycielka.

No i zostało kocię Pipką, tyle, że nie nauczycielki, a Więclawka.

Ale wróćmy pod czworaki w dzień przyjazdu niemowy ze szpitala.

ALE wróćmy pod czworaki w czas odjazdu niemowy ze szpitala. Kierowca opowiedział wszystko

- Rozkroili biedaka, otworzyli, zobaczyli dziadostwo w brzuchu, zaszyli, dali tydzień życia. Nie więcej.

Edek rozplakał się w głos.

- Siedem dni... nie więcej - powtórzył za kierowcą. Mało czasu. Za mało. Po trumnę do Ujazdu, po garnitur i koszulę do Tomaszowa, po trzewiki do Będkowa, bo tam najlepszy szewc, po miejsce na cmentarzu do Łaznowa. Siedem dni. Za mało...

Przez siedem dni Edek zwoził pogrzebowe dobro. Skąpy był, nie lubił marnotrawstwa, więc trumnę kupił byle jaką, garnitur z byle czego, trzewiki z tekturową podeszwą specjalne, umarlaczone, a i miejsce na cmentarzu wybrał gówniane.

Przez ten cały czas Więclawek leżał w łóżku, pomrukiwał, kręcił głową z niedowierzaniem, taksował wzrokiem przywożone rzeczy.

Ósmego dnia wstał, ogolił się, przywdział trumienną garderobę i zawezwał Edka. Sama rozmowa nie była długa, za to milczenie przed nią wieczne i śmiertelne. Milczeli po równo: Więclawek, Edek, nauczycielka Piotrkowska i Majczak z klubokawiarni. Na koniec Więclawek odezwał się w te paluchowe słowa:

Trumna gówno, trzewiki dupa, koszula pies, garnitur krowa, Więclawek życie. Koniec.

Oznaczało to mniej więcej tyle, że trumna i reszta nie były oczekiwanej jakości. Bo też - powiedzmy prawdę - nie były.

Te z conocnego snu Więclawka - były najlepsze. Najlepsza trumna z wyleżanej dębiny, lśniaca od politur i pozłoty, najlepszy garnitur od krawca Marczyka z Łomin i trzewiki pierwszego gatunku. Te z kolei od szewca z Prażek, mierzone do nogi, podbite słoniną na palec, obławowane i wyglansowane jak na pogrzeb bogacza. Bo w swoich snach Więclawek był bogaczem. Tyle, że nikomu nie chciało się zaglądać w sny niemowy. Szkoda, bo mógł tam zobaczyć to i tamto.

Na przykład rozmowę z Panem Bogiem. Zręczną, bez tłumaczy, z wszystkimi niezbędnymi częściami mowy.

PB: To jak nazwałś Więclawek tego kota? Pipka? A właściwie dlaczego Pipka? Nie było lepszego nazwania?

W: Jaka Pipka, Panie Boże?! Jaka Pipka? Miała być lipka, bo to drzewo kocham najbardziej. A i kocię lubiło o nią ostrzyć pazurki. O tę moją kochaną lipkę. Takie drzewko rośnie z człowiekiem, dodaje się do niego wiosną, zaczadzą słodem. Takie drzewo to skarb...

Miała być lipka, ale ten tuman Majczak nie poznał słowa z palców.

PB: Lipka, mówisz?... Ładne nazwanie. W sam raz dla kota. Ja sam nie nazwałbym lepiej. Psa na przykład nazwałem Waleńcusz.

W: To Pan Bóg ma psa?

PB: No, prawdę mówiąc... nie mam. Ale bardzo bym chciał. Nawet Znajdę polnego... Byle kto ma co chce, a już psa to prawie każdy łązega. Święty Roch na przykład. A w czym on lepszy, że ma Brysia wielkiego jak stodoła? Takie piękne psie, pilnujące bydła, liżące rany na nogach. Widzisz sam, Więclawek, jak wygląda ta Boża sprawiedliwość...

W: Bez urazy, Panie Boże, ale to tyją stanowisz.

PB; Niby co?

W: No, sprawiedliwość Bożą. PB: A nawet jak ja, to co z tego? W: A to z tego, że ustanów sobie psa.

PB: Głupi jesteś, Więclawek. Teraz to ja już nic nie mogę ustanowić. Wszystko ustanowiłem, cały porządek, raz na zawsze. Trzeba mi to było powiedzieć w dniu stworzenia... Ale co tam... przepadło i już tak zostanie. Na zawsze. Na wieki wieków...

W: Amen.

Od dnia rozmowy z bratem, Więclawek zaniemówił na dobre.

Nie przyjął żadnej z pogrzebowych rzeczy. Postanowił żyć, aż do skutku, to znaczy do tej chwili, kiedy zobaczy w swojej izbie wszystko, co się należy nieboszczykowi.

Tymczasem w trumnie umieścił Pipkę. Okociła się po tygodniu. Kociąt było pięć - wszystkie podobne do matki. W myśli nazwał je „Pipciakami” i oznaczył numerami od jednego do pięciu. W dniu, w którym otworzyły ślepią, postawił je na stole, potem dokładnie odrysował na papierze kopiowym ołówkiem.

Czwartą część planu miał za sobą. Zaraz też przystąpił do realizacji pozostałych trzech części. Pracę rozłożył sobie na dwa lata. Tak mu wyszło z obliczeń.

Przez pierwsze pół roku rozpleniał myszy. Nie szło to łatwo, bo ledwo oswoił kilka sztuk, ledwo dorobił się znacznieszego miotu, a już mu Pipka z Pipciakami podjadły co smaczniejsze. Na koniec dopracował się jednak trzech setek głodomorów.

Drugie pół roku spędził Więclawek na podkładaniu myszy gdzie potrzeba. Sześćdziesiąt sztuk wrzucił do stodoły Edka, siedemdziesiąt puścił dobrodziejowi na plebanię, osiemdziesiąt zostawił w Łominach, w sionce krawca Marczyka, a dziewięćdziesiąt ostatnich rozsypał hojnie w warsztacie szewca z Prażek, kiedy ten zajęty był akurat większą potrzebą.

Trzecia część planu - to było czekanie na plagę. I ta nadeszła niedługo. Cały okoliczny świat zamyslił się od brzegu do brzegu. Więclawkowy pomiot zżerał wszystko, co się do tego nadawało i sporą część tego, czym zwykle gardził.

W te dni najcenniejszym skarbem okazał się jaki bądź kot. A Więclawek miał kota. Ba, gdyby tylko kota. Więclawek miał Pipkę i pięć wypasionych, gotowych na wszystko tygrysią!

Przyszła pora na handel.

Za pierwszego kota zażądał Więclawek dębowej trumny od brata. Dostał ją bez targów. Za drugiego kota sprawił sobie czarny garnitur (krawiec Marczyk dołożył nawet białą koszulę i spinki do mankietów). Za trzeciego kota zamówił w Prażkach buty z najlepszej skóry, a za czwartego wytargował u dobrodzieja miejsce do leżenia przy głównej alejce. Został piąty kot. Z tym wybrał się Więclawek na wieś, wystawił go w klatce pod remizą i kazał sobie przynieść najdorodniejsze szczeniaki. Do wyboru przedstawiono mu siedemnaście sztuk. Wybrał najlepszego i zaraz też ogłosił mu jego imię:

- Nazywasz się Walencjusz.

Po tym ogłoszeniu Więclawek podziękował tłumaczom, podarował im na spółkę Pipkę i wszystko, co by zechcieli zabrać z mieszkania.

Nie doszedł do czworaków. Śmierć wzięła go po drodze, tak jak szedł, z psiakiem w kieszeni.

Strach polny przykrył go burką. Ulitował się nad Więclawkiem, bo akurat żliła jesień.

Zrzucił kapocinę, a sam został goły, z patykami wystawionymi na wieczorny chłód.

Było jak było: Szczeniak popiskiwał, Więclawek leżał przykryty strachowym przyodziewkiem, a strach dygotał z zimna. Tak w każdym razie opowiadały wrony, które widziały to dokładnie - i z góry i z grudy. Czy można dać wiarę takiemu świadectwu? Można. Wrony nie kłamią w ważnych sprawach.

WSPAKOSZ czyli niewinne odwracanie świata

Różne były rzemiosła w Popielawskim dworze.

Szewcem był Badełek sprawiający kamasze tak udatne, że ich rozgłos daleko przekraczał granice dawnego majątku. O Badełkowych trzewikach mówiło się na odpuście w Łaznowie (na świętego Rocha, któremu pies wylizał ludzkie rany, a parchate bydłeta skłoniły łby nabożnie), w Rokicinach, czy choćby w Głuchowie pod białym kościołem.

Podobno dziadek Badelka obdarował łapciami samego pana Reymonta, kiedy ten jeździł akurat po okolicy w czas pisania ważnej książki. Stąd wzięły się dwa zdania w skierniewickiej gazecie. Pan Reymont opisał w nich wygodę chodzenia w niezwykłych łapciach i ulgę po męczarniach od angielskich sztybletów. Wszystko to w dwóch zdaniach. Taki pisarz! Nic dziwnego, że sławne rzemiosło poszło w pokolenia (szewskie, nie pisarskie).

Różne były rzemiosła, a wszystkie spełniane najlepiej.

Na przykład Cieśliski. Ten był mleczarzem kręcącym centryfugą tak szybko, że nie widziało się ani korby, ani ręki, a tylko nieostrą mgiełkę. Zdarzało się, że przy hamowaniu maszyny, śmietana podnosiła się wysoko, aż na okolicę spadał mleczny deszcz.

Rymarzem był Szewczyk. Ten z kolei wybijał podkładki szczecina tak leciuchną, że koniska upierały się trzymać chomąta na grzbietach przez okrągłe życie. Orały w nich, wozy, spały w stajniach, zdychały, aż na koniec kleszczyzny chomąt gnily pomieszane z wiernymi kośćmi nosicieli.

Różne były rzemiosła w Popielawskim dworze. Dużo by o tym pisać, ale czas już napocząć historię Antka Błocha ze Smykowa. Tej akurat historii nie da się opowiedzieć inaczej, jak tylko po kolei.

Antek urodził się sierotą. Matkę zabrała do ziemi gorączka połogowa, zaś ojców przypisano mu siedmiu. O czterech za dużo, bo i tak wiadomo było, których trzech ruchało Marianne, a byli to: Rzepecki, Giska i Gniewisz. Więc kolebało się dzieciątko w cudzych kolebkach, aż dorosło

wieku cielęcego, nie znając smaku matczyne go mleka ani ojcowskiego rzemienia.

Wtedy objawiło się światu ciekawością wszystkiego, rozdymaną ponad zwykłą ludzką potrzebę, jak nie przymierzając - świńska macherzyna.

- Dlaczego chmura się trzyma nieba i czym ta głupia się trzyma? Dlaczego kierat się obraca? Dlaczego deszcz jest z wody, a grad na przykład z lodu? Dlaczego żelazo się nie pali, a drewno na przykład jak najbardziej?

Takie pytania i inne, słyszało się co dzień w każdej Smykowskiej dziurze. Kto umiał - odpowiadał jak umiał, kto miał dobrą wolę - zmyślał do granicy chłopskiego rozumu, komu brakowało cierpliwości - rugał smyka albo smagał batem. W takim świecie pobierał Antek pierwsze nauki. We dnie pilnował bydła, na noc zapadał w sąsieki, na strychy, do obórek, by tam, ze światłem od księżyca albo od naftówki powoli rozbierać świat na kawałki.

I rozebrał jak umiał, po swojemu. Czytać nauczył się od prawej do lewej, pisać do góry nogami, rysować od spodu kartki, a nie na wierzchu.

Kiedy wydłubał gęślik z kawałka czereśni, poszedł podobną drogą. Przycisnął smyk do piersi i zagrał gęślikiem po końskim ogonie.

Taka to była nauka...

Czasem zapytał tego czy tamtego siedzącego na miedzy z kamiennym czołem.

- Powiedźcie z dobrego serca... prawdziwego uczyć się świata?

-Prawdziwego, Antoś... prawdziwego. Każdy świat prawdziwy...

Z takimi przewodnikami doczekał Antek Błoch szkoły powszechnej, a wraz z nią pierwszych słów nauczyciela Kuląga.

- Katastrofa! Wszystko nie tak! Wszystko od tyłu do przodu... Jak to teraz odwrócić? Nauczyciel miał rację, ale tylko tyle. Nie znalazła się przy tej racji żadna rada na Antkową odwrotność.

Co było robić? Zostawiony sam ze światem, wrócił Antek do osobnej nauki. Nim to jednak uczynił, dał nazwę swojemu rzemiosłu i w tej samej chwili został pierwszym wspakoszem w dookólnym świecie.

Praktykę zaczął i zakończył tego samego dnia u wszystkich okolicznych rzemieślników naraz.

Najpierw przegnał go szewc Badełek za próbę zrobienia antybutów, potem mleczarz Cieśliski w chwili zamiany śmietany na mleko, wreszcie rymarz Szewczyk, po uwolnieniu kobyły z żelaznego chomała.

Antek Błoch ucieszył się z porażki jak mało której rzeczy w życiu. W końcu to on wymyślił odwrotność.

- Kościół modli się we mnie, cieszę się, kiedy jestem smutny, śpię w dzień, chleb mnie zjada... Jestem pierwszym wspakoszem w Smykowie i być może gdzieś jeszcze. To ja mam rację, bo wszyscy mi jej odmawiają - pomyślał jak dorosły a nie jak dziecko, czym też potwierdził wysoką jakość swojego osobliwego rzemiosła.

Wkrótce, w wieku dwunastu lat został najbogatszym człowiekiem w okolicy. Jak do tego doszło? Zwyczajnie.

W dniu, w którym zainteresował się pieniędzmi, poszedł po nie do sklepu Sciborka. Kierowała nim myśl, że skoro wszyscy noszą pieniądze do sklepu, to on, Antek, uczyni odwrotnie. Jak pomyślał tak zrobił. Wybił szybę, przecisnął się między kratami obliczonymi na większego złodzieja, wziął pieniądze i wrócił do domu, czyli - nigdzie. Podobnie spędził kolejne noce w kolejnych sklepach w okolicy. Po nich przyszedł czas na Bank Rolniczy w Będkowie. Stąd wyniósł Antek dwanaście worków i na tym zakończył złodziejską karierę. Pieniądzy miał już pod dostatkiem, a i tak nie wiedział, co z nimi robić.

Następnym dziełem miało być odpuszczenie grzechów księdzu dobrodziejowi. Antek nie raz widział dobrodzieję pochylonego nad białymi główkami dzieci. Takie zajęcia bardzo mu

odpowiadało.

- Odpuszczę grzechy księdzu, a może nawet pobłogosławię?

Z takim postanowieniem poszedł do kościoła.

Depcząc dymiącą kurzem polną drogę, nie wiedział jeszcze, że ta wizyta posieje w jego głowie najtrwalsze ziarno.

A było tak:

W kościele stały figury. Lśniły na nich pozłoty i polichromie, patrzyły z figur żywe oczy świętych.

- Figury w kościele? Kościoły w figurach - to właściwy porządek.

Z tym małym pomysłem i workiem pieniędzy pojechał Antoś do miasta. Kupił, co potrzeba: dłuta, dłutka, scyzoryki, farby, pędzle. Kiedy wrócił do Smykowa, wziął się za rzeźbienie świętych, którym w pustych piersiach poumieszczał piękne kościoły.

Już po miesiącu figury zyskały wielką sławę. Zaczęli się zjeżdżać kupcy z Polski i okolicy. Wielki bogacz z Ameryki zamówił nawet osiołka dźwigającego w pustym brzuchu calutką Jerozolimę. To było dzieło jakiego świat nie widział. Wzruszony bogacz wystawił Antkowi pałac budowany od komina w dół.

Tymczasem Antek nie przestawał myśleć.

- Człowiek na obrazie? Obraz na człowieku -to właściwy porządek.

No i zaczęło się malowanie. Rzeka z wierzbami na plecach sekretarza z województwa, Matka Boska Przenajświętszej Pomocy na piersi dobrodzieja, ukochana Mariolka na pośladku kowala Andryszka (za ten akurat obraz nie wziął Antek zapłaty).

Wkrótce, w wieku dziewiętnastu lat, zamieszkał w nowym pałacu pod Warszawą i wtedy przyszło nieszczęście. Pojawiło się nagle, wraz z nowym pomysłem.

- Partia kierowniczą siłą narodu? Naród kierowniczą siłą - to właściwy porządek.

Pierwszy raz trafił do więzienia na cztery lata. Władza zabrała mu pałac, a wraz z nim: powielacze, maszyny drukarskie, faksy, aparaty fotograficzne, magnetofony, papier i farbę.

Drugi raz trafił do więzienia na pięć lat. Kiedy wychodził, dobiegał już trzydziestki, miał w dorobku pięć książek napisanych odwrotnie i decyzję, żeby opuścić Smyków na zawsze.

Wybrał Australię, bo leżała na odwrotnej stronie ziemi.

Zostało po nim kilka książek do czytania z lusterkiem oraz kilka tysięcy ludzi myślących jak należy.

## KAMIENNE CHLEBY CIOTKI MANIUSI

Wszystkie znalezione chleby były kamieniami, choć wyglądały jak chleby. Naśladowały ich kształt, były wypukłe od góry, płaskie od dołu, miały popękana skórę, w pęknięciach były szorstkie i mączne, zaś gładkie po wierzchu. Na wypukłości szklily się drobiny maku usypanego w gwiazdkę - znak przedwojennej piekarni z Rokicin, często naśladowany przez okoliczne gospodynie.

Nie wiadomo tylko, czy pachniały, bo ciężar chlebów zniechęcał do podnoszenia ich do góry, a jakoś nikomu nie przyszło do głowy żeby się pochylić, przytknąć nos i powąchać.

Znalezisko było tak nieoczekiwane, że zapodziała się gdzieś trzeźwość ludzkich zachowań.

-To kamienie i chleby. Chleby i kamienie. Jedno jest tym samym, co drugie, a przy tym jest sobą osobnym. To się zdarza. Na przykład: kamienne serce, kamienna głowa, kamienne tablice Mojżesza, według których żyjemy jako ludzie. Tu, na ruinach domu ciotki Maniusi mamy do czynienia z kamiennymi chlebami lub chlebowymi kamieniami. Jako człowiek światły i

demokratyczny zostawiam wam wolność wyboru nazwy, więc jak nazwiecie, tak się będą nazywały.

Tym pięknym przemówieniem nauczyciel Piechota spróbował podsumować sprawę znaleziska, zawrócić ludzką wyobraźnię i ułożyć ją na powrót w koleinach codzienności. Niestety, próba nie powiodła się, a to za sprawą następnych wydarzeń. Zanim jednak o nich - kilka słów o okolicznościach znalezienia kamiennych chlebów (chlebowych kamieni).

Zmarła ciotka Maniusia. Nim to uczyniła zdejmując kamień z serca swojej wnuczce Hani, dożyła dziewięćdziesięciu siedmiu lat, pochowała męża, dwie córki, dwóch synów i trzech braci.

Tak się przy tym oswoiła ze śmiercią, że trumnę na swój pochówek trzymała w sionce, doglądała jej, zdejmowała pajęczyny, prostowała krzywiącego się Jezuska.

Odkąd pamiętano, poruszała się przy krześle, złamana w pół, mogąca widzieć tylko skrawek świata dookoła nóg, a widząca wszystko.

O jej defekcie mówiło się różnie, zawsze jednak szeptem, łącząc chwilę, która przygięła ciotkę Mamusię do ziemi z jakąś tajemnicą. Wiadomo było tylko, że cała rzecz stała się naraz, w sekundzie, może w minucie. W jednej chwili.

Zmarła w łóżku nie zapowiadając śmierci

I nie wyjaśniając żadnego z domysłów.

Już w dzień po pogrzebie Hania i Mietek zabrali się do rozbiórki chałupy ciotki Mamusi - drewnianej, ledwo żywej, przyklejonej do murowanego pałacu. Zdjęli przegniłą strzechę, odbili zmurszałe krokwie od kalenicy, wyłuskali deski ze stropu, zabrali się za belki ścienne.

Jak krew popłynęła żywica do ziemi. Dopiero teraz drzewo umarło.

Pod wieczór, w miejscu po chałupie ciotki Maniusi zostało tylko to, co zostaje zawsze: chlebowy piec bielony z kominem w połowie białym a w połowie czerwonym.

W nocy piec się sam rozpałił. Skąd wiadomo, że sam? Tak naprawdę to nie wiadomo, ale lepszego wytłumaczenia nikt nie znalazł. Nauczyciel Piechota dopuścił nawet udział ducha w tym materialnym zdarzeniu, choć fizykę przedkładał nad inne przyczyny.

-Jakiś żar się przechował przez lata, jakaś iskra Boża. Powietrze doszło, tlen iskrę rozniecił... Tak mogło być...

- Tak mogło być - powtórzyli ludzie za nauczycielem. W końcu metafizyka to też fizyka, chociaż trochę inna.

Piec gorzał do rana. Rozpalony do białości bił luną po niebie. Nadjechały wozy strażackie z całej okolicy, ludzie powstawali z łóżek, przebudzona smarkateria zaświeciła gołymi dupami, rozjazgotały się psy, przyleciało stado kawek, zanurkowało w rozpaloną czelusć komina. Ptasie kostki wystrzeliły za chwilę z paleniska.

Ludzie zaczęli rozmowy o końcu świata. Coś się im przypomniało ze świętego Jana, jakaś kula ognista, ptaki ogłupiałe, bezgłośnie, popiół zawieszony nad ziemią. Poszedł płacz dookoła i załamywanie rąk. Ten i tamten uporządkował pospiesznie swoje życie, psy podkuliły ogony, dzieci posikały się ze strachu, a starcy zamilkli.

Wtedy piec zaczął przygasać. Z białego zrobił się czerwony, a potem doszedł szybko do zwykłej szarości. Dymił jeszcze przez godzinę, aż ostygł razem ze świtem. W takiej sytuacji wozy strażackie odjechały, kobiety rozeszły się do domów, a mężczyźni do obrządku.

Chleby znalazła Hania. Wypadły z pieca razem z blaszanymi drzwiczkami. Było ich dwanaście, tyle samo ilu apostołów w Piśmie.

-Ostatnią wieczerną urzędę w Popielawach - pomyślała Hania i sama się zdziwiła

Potem dotknęła chlebów, poznała, że kamienne, krzyknęła w stronę świata: - Kamienne chleby ciotki Maniusi!

Poszło słowo po wsi nieodwołalnie.

Przez kolejne dni chleby stygły pod piecem, wskazywane przez Hanę poparzoną palcem. Oglądał je sobie, kto chciał, chociaż trzeba powiedzieć, że chętnych ubywało. Widok dwunastu bochenków choćby najbardziej kamiennych, nie mógł się równać z widokiem gorejącego pieca. Tamto zostało w pamięci, bo dotknęło światłem nie tylko oczu, ale i utopionych w mroku dusz. Ludzie poczuli podwójność swoich bytów i w jednej chwili stali się gotowymi do życia wiecznego.

Z takim uczuciem pozapadali się w ciemne kąty chałup, stodoł i obór, by przywoławszy światło pod powieki, roztopić nim lód przeszłego życia i kamień uczynków.

Co poniektóry nie wytrzymał wzruszenia. Z płaczem poszedł na pole, na drogę, pod święte drzewo dębowe, by po raz pierwszy w życiu wypowiadać się Panu Bogu. Naliczono później: trzech powieszonych, dwóch oślepych i jedną histeryczkę z potrójnymi stygmatami.

Nauczyciel Piechota zapisał w dzienniku:

„Te dni w Popielawach naznaczone były nadmiarem”.

Miał rację. Udokumentował ją wkrótce decyzją opuszczenia wsi, zamieszkania w Sługockim lesie i budowie pustelni. Kiedy ją wznosił z polnych kamieni, zaczął wygłaszać naukę. Po miesiącu uszło mu przyrodzenie, a ptaki zasrały mu głowę jak świętemu Franciszkowi.

Te zdarzenia, choć już opisane - miały dopiero nastąpić. Przyczyną były chlebowe kamienie, więc wróćmy do nich.

Hanka zakopała wszystkie za stodołą, w dole po lasowaniu wapna. Dostygły tam do końca, przepadły, ale tylko na jakiś czas. Niedługo wróciły przed ludzkie oczy, a były nimi oczy starej Kusidelki.

Stało się to na cmentarzu w Łaznowie, w piątkowy wieczór, Kusidelka zobaczyła dwanaście bochenków i krzyknęła wniebogłosy.

Chleby leżały na grobie ciotki Maniusi, przyciskały go od góry i otulały po bokach. Jak się wydostały z dom, kto je umył (nie były uwalane wapnem), kto przywiózł do Łaznowa w tajemnicy przed ludźmi?

Na te pytania potrafiło odpowiedzieć dwóch, może trzech mądrych w okolicy, pośród nich nauczyciel Piechota, ale na ludzkie nieszczęście właśnie tego dnia poczuł w sobie powołanie, ogłosił się eremitą i opuścił Popielawy na zawsze.

Bez rozstrzygnięcia, w pośpiechu - zakopano chleby na nowo. Tym razem uczynił to Mietek, mąż Hanksi, gospodarz znany z dokładności.

Wywiózł bochenki daleko za wieś, wykopał dwanaście oddzielnych grobów, do każdego wrzucił chlebowy kamień i przycisnął go dwunastoma polnymi. Chodziło mu o to, by uzyskać liczbę sto czterdzieści cztery, która w jego rodzinie uchodziła za magiczną.

- „Wyznać ci muszę kabały litery, uratuje ci duszę sto czterdzieści cztery”.

Podobno w takich słowach wyraził swoją wdzięczność Żyd Moszek Stilander uratowany od śmierci przez Mietkowego dziadka.

Przez trzydzieści lat żadna z Popielawskich dusz nie domagała się ratunku, więc nie użyto zaklęcia. Taka potrzeba pojawiła się dopiero razem z kamiennymi chlebami ciotki Maniusi, bowiem jak już o tym wspomniano - gorejący piec rozpałił nie tylko siebie samego.

Było nie było - chlebowe kamienie zaległy w ciemnych grobach, przyciśnięte dla pewności stu czterdziestoma czterema polnymi braćmi.

Kiedy nazajutrz ponownie odkryto bochenki na cmentarzu w Łaznowie, wieś poprosiła o radę mądrzejszych od siebie. Pojechała delegacja do Muzeum Piekarnictwa w Brzezinach. Pan kustosz przyjął delegatów serdecznie, wspomniawszy o dobrej jakości Popielawskiego chleba, wypytał o młynarza Trele, którego pamiętał z partyzantki i...odmówił przyjęcia dziwacznych chlebów.



- Proszę oddać do szkolnej izby pamięci. Tak radzę. Niech się dzieciarnia uczy... Albo do młyna, na żarna. Niech chlebowe kamienie mielą ziarno na mąkę. Kapitalny paradoks, prawda? Albo potłuc i... na drogę. Żeby się wam na tej wsi lepiej jeździło tymi tam... konikami...

Ta ostatnia rada spodobała się Hance, więc poszły chleby pod młot kowala Andryszka. Potłukł dwanaście bochenków na żwir, zebrał szuflą i wyrzucił na drogę.

Ledwo opadł pył, a już chlebowy drobiazg na powrót zaczął się układać w bochenki. Kamyki śmigały w powietrzu jak pociski. Chciał się nimi zabawić Burek, ale okazały się ślepe i nieczułe. Urwały mu głowę. To uczyniwszy - potoczyły się na cmentarz.

Do następnej narady stanęły już tylko dwie osoby: Hanka i Dietek. Reszta ludzi rozpełzła się po norach, bo to było jedyne świadectwo, jakie mogli dać prawdzie.

- Co z nimi zrobisz? - zapytała Hanka, przerzucając ciężar na męża, bo już wiedziała, że jest głupsza od chlebów.

- Potłukę je na sto czterdzieści cztery ułamki, każdy zawinę w czarne płótno, żeby nic nie widział, załaduję na wóz, wywożę daleko, pouciskam w ustronnych miejscach, pogubię... Niech się spróbują potem odnaleźć jak takie mądre...

To powiedziawszy, Mietek zabrał się do roboty. Ukłękął nad chlebami i bijąc młotkiem w przecinak, jak starodawny kamieniarz - dokonał dzieła.

Potem zawinął każdy z ułomków w czarne płótno, obwiązał sznurkiem, pomieszał, załadował na wóz. Na koniec zabrał z chałupy zeszyt w dwie linie i kopiowy ołówek. Tak przygotowany ruszył w drogę.

Pod wieczór dojechał do Odrzywołu. Tam przenocował pod stogiem siana.

Od rana zaczął umieszczanie chlebowych ułomków, każde miejsce opisując w zeszycie, a nawet dla wszelkiej pewności rysując rysunek. W którejś sekundzie złapał się na myśli, że oto wykonuje najciekawsze zajęcie w swoim życiu.

Kiedy pod wieczór rozpałił ognisko na polu pod Czarnocinem poczuł, że jest szczęśliwy jak nigdy dotąd i w tej samej chwili postanowił nie wracać do domu.

Konia i wóz sprzedał w Kalinowie, zaś notatnik przesłał do Popielaw pocztą.

Odezwał się dopiero po dwunastu latach, by jako Boris Hammerstein ogłosić, że otwiera kolejną kopalnię diamentów w Afryce Południowej oraz że nadaje jej imię „Popielawy” na znak przywiązania do rodzinnych stron.

W taki oto zasrany sposób, spełniła się przepowiednia Moszka Stilandera.

Kamienie ułożyły się w chleby na trzeci dzień po ucieczce Mietka. Tym razem poszło im trudniej, ale na koniec - znalazły każdy każdego.

Hania nie mogła się nadziwić. Zasiadła nad notatkami męża i zanim pismo rozmyło się pod łzami, zdążyła przeczytać skąd wróciły ułamki. Wróciły ze studni w Sangrodzu, kapliczki w Głuchowie (tam ułomek utracił nos figurze świętego Patryka), z dębowej dziupli w Spalskim lesie, z bagna w Luboszewach, z domku pisarza Reymonta pod Skierniewicami, z niebieskich źródeł w Tomaszowie Mazowieckim, z Wytwórni Landrynek w Żelechlinku i z wielu innych miejsc.

-Z takiego wielkiego świata powracały... -pomyślała Hania, nie dopuszczając przecucia, że wielkość świata nie zależy od niego samego, a tylko od człowieka, który daje miarę. Wiele lat później zrozumiała, że najwłaściwszą miarą na określenie wielkości świata jest Hanczyna tęsknota.

Kamienne chleby ułożyły się na grobie ciotki Maniusi w ten sam wzór, co zawsze. Po dwóch dniach największy z nich, przyciskający pierś nieboszczki zaczął delikatnie wibrować. Pomruk usłyszała Kusidełka i znów z wrzaskiem poleciała do ludzi.

- Gadające chleby ciotki Mamusi! Poszło słowo w świat.

Na szczęście tym razem usłyszał je właściwy człowiek. Okazał się nim technik dźwięku pracujący w kinematografii, zbierający akurat dźwięki do nowego filmu o ptakach. Podobno w okolicach Popielaw odzywały się one szczególnie ponuro, co technik potrafił przedstawić na wykresie. Człowiek ten znał również metodę zamiany wibracji na ciąg impulsów elektromagnetycznych, poruszających membranę głośnika. Przy dobrych warunkach można było wtedy usłyszeć mowę przedmiotów.

Poproszony przez Hanię, pojechał na cmentarz, podłączył elektrody do chlebowego kamienia, wpiął kable do magnetofonu „Nagra” i uruchomił zapis. Jako pierwszy usłyszał opowiadanie, które potem z płaczem przekazał ludziom. Brzmiało ono mniej więcej tak: Jestem chlebem z pieca ciotki Maniusi zamienionym w kamień. Przyciskam jej pierś za uczynek, którego Pan Bóg nie wybaczył.

Dalej, chleb przypomniał wydarzenie z czasów wojny. Ożywiło ono pamięć najstarszych mieszkańców wioski, którzy potwierdzili prawdziwość słów kamienia.

Był któryś z lipcowych dni tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku. W stodole Sontów leżał ranny Odrowąż, po wiejskiej drodze przechadzała się jego mała siostra Ewusia, oczekująca na koniec wypieku chleba w piecu ciotki Maniusi. Miała dostać jeden chlebek, zanieść go braciszкови, ucieszyć się dobrym uczynkiem.

Nie dała rady. Kiedy chlebek zapachniał w jej dłoniach, poczuła taki głód, że nim zrozumiała, co robi - zjadła go do ostatniego ziarnka maku. Z płaczem pobiegła do ciotki Mamusi.

-Ciotuniu najdroższa, Maniusiu złota, nie doniosłam chlebka do stodoły. Ulituj się i daj jeszcze jakiś malutki... - Nie mam chleba dla darmozjadów. Jest sianie zboża, jest żniwo, jest mielenie ziarna i zaczynianie ciasta. Dopiero potem jest chleb.

Po tych słowach kobieta pochyliła się nad paleniskiem i tak już została, zaś dwanaście chlebów w jej piecu skamieniało w jednej chwili, by upodobnić się do serca Maniusi.

Opowiadanie zarejestrowane przez technika posiało w Popielawach milczenie. Ludzie robili rachunek życia - każdy z osobna i wszyscy razem. Już nie przeszkadzały im kamienie na zewnątrz nich - chlebowe, przydrożne, polne - tylko te, których ciężar poczuli w środku.

Po dwóch tygodniach Hanka zwołała naradę.

- Ewusia żyje w Tanzanii. Jest siostrą oblubienicą serca Jezusowego. Może zna modlitwę?

Ewusia знаła modlitwę. Odmówiła ją zaraz po otrzymaniu listu z Popielaw. Uklękła w cieniu daktylowej palmy, ucałowała litery z rodzinnych stron, odezwała się w te słowa:

- Chleba naszego kamiennego daj nam dzisiaj i odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.

Cmentarne chleby Usłyszały modlitwę, przemieniły się w ziemię i obsypały po bokach mogiły. Wiosną wzeszło na niej żyto.

## DWORUSY

czyli historia jednej kobyłki i dwóch światów

Dworusy to byli normalni ludzie: jakiś szewc, jakiś rymarz, jakiś stajenny, jakiś mleczarz, ich żoniska, ich bękarteria, ich psiarnia i kociarnia. Ludzie jak ludzie.

Żyli niespiesznie obracając gęby w kręgu paru koniecznych spraw. A to wstawali, a to siali na splechawkach lichej ziemi, a to żelowali buty, spoglądali w niebo, zwieszali łby, wracali do chałup, zapadali w barłogi z nieodmiennie nadpękniętym sercem.

Czasem któryś klęknął przed wyblakłą Matką Boską, poprosił o niemożliwe, naznaczył palcami ważne miejsca na czole i ramionach, uśmiechnął się głupio do psa i do swojej naiwnej wiary.

Świat zapomniał o dworusach zaraz po rozdziale ziemi.

Nawet nie było tak, że zapominał przez miesiąc, czy choćby przez tydzień. Zapomniał naraz i już. Najpierw jednak rozdrapał z majątku po półmorgu na gębę, zatkał sobie kałduny pierwszym dworskim chlebem, dopiero później zapomniał tak jak się zapomina.

Zresztą, co to za dwór bez dziedzica? Co to za fason stangrecki bez koników z cieniutką pęcina? O czym tu kurwa pamiętać?!

Świat nazywał się Łorniny. Był zwyczajną wsią. Miał sklep, pocztę, szkołę, zlewnię mleka, przystanek PKS-u, kiosk, klubokawiarnię, kino objazdowe, elektryczność i remizę z zabawami. Miał wszystko. Od dnia zapomnienia wzrastał w ważność z każdym nowym dniem, aż minęło dwadzieścia lat i świat Łorniny unieważnił się w jednej chwili.

Stało się tak za sprawą dworusa Stefana Jałmużny. Ale do tego jeszcze trochę czasu. Na razie, w przeddzień unieważnienia Łornin, Stefan Jałmużna wybrał się do sklepu, by, jak co tydzień doznać przewag ludzi lepiej urodzonych.

Najpierw kupił najgorszy chleb odkładany na bok specjalnie dla dworusów, potem wyprosił u listonosza zaległy list ze złymi wiadomościami, na koniec wypił skwaśniały pod-piwiek, cmoknął na czarną kobyłkę i zawrócił do dworu.

Czarna kobyłka. Ta była pociechą Jałmużny za każdą udrękę, choć prawdę mówiąc, chłop z trudem odróżniał udrękę od uciechy. Od dnia zapomnienia obie zmieszały się ze sobą w coś jednego, skotłowanego jak pszeniczny poślad. Trwało sobie to „coś”, trzymając ludzi równo pośrodku między radością a rozpaczą.

Tylko kobyłka nie była pośrodku. Była wyżej. Czerniała jak najczarniejsza noc, smoliła oczy nie gorzej niż kawki w kominie, a może nawet lepiej.

Wieczorem Stefan Jałmużna zjadł zalewajkę, wypalił w lufce pół papierosa, spojrzął na brzydką żonę, potem na Najjaśniejszą Panienkę i poszedł do stajni. Kiedy zobaczył kobyłkę - nie od razu uwierzył. Wyszedł ze stajni, przyzwał na świadków Jezusa Chrystusa, świętego Rocha, i kilku pomniejszych świętych, wrócił, rozpałił latarkę naftową, przyświecił, spojrzął drugi raz. Tym razem musiał uwierzyć. Nie było innej rady. Jego czarna kobyłka pojaśniała. Nie była już czernią z czerni i mrokiem z mroku. Wyblakła jak płótno na słońcu. Co było robić. Dworus Jałmużna rozplakał się po cichu, wysmarkał, zdmuchnął płomień latarki i poszedł spać.

W dniu unieważnienia Łornin obudził się przed świtem. Wcześniej, niż co dzień. Pierwsze kroki skierował do stajni. Spojrzął i zobaczył: czarna kobyłka nie była już wyblakłą kobyłką. Była biała jak mleko. Nie inaczej. Tym razem dworus Jałmużna nie zapłakał. Odezwał się:

-No co tam... Będę cię wołał „Biała”. Niech będzie jak ma być. Ktoś mądrzejszy od nas tym zarządza...

To powiedziawszy zabrał się za zgrzebło i wiecheć owsianej słomy. W tamtej chwili nie wiedział jeszcze, że on sam - dworus Stefan Jałmużna jest czarny jak smoła. Że przez noc zamienił się z kobyłką w kolory.

Dowiedział się o tym za godzinę, kiedy docucił omdlałe żonisko. Kobięcina długo nie chciała ogłosić prawdy. Nim to uczyniła, przyzwała bez porządku wszystkie znane podniebne byty. Jakoś tak przy Matce Boskiej Biedaków - powiedziała wreszcie:

- Stefan, ty jesteś czarny jak smoła!

Stefan Jałmużna spojrzął w lusterko. Jałmużnina mówiła prawdę. Był czarny jak smoła.

Wiadomość doszła do Łornin zwykłymi drogami, to znaczy - nie wiadomo jak. Ludzie zebrali się pod sklepem. Po długiej naradzie ogłosili: Pan Bóg zamienił Jałmużnę w kobyłkę, i na odwrót. Taki cud sobie wybrał, żeby im coś oznajmić. Tylko co?

Na razie, przed odkryciem Boskich zamiarów, postanowili sprawdzić Jałmużnę. W tej sprawie sklepowy Ściborek zebrał pieniądze od pospólstwa, potem kupił sam u siebie: mydło szare i

toaletowe, proszek do prania, szczotkę ryżową, dwie kostki masła, dziesięć kilo kiełbasy, pięć chlebów, sześć litrów wódki i słoik miodu.

Próba mycia wypadła na korzyść Jałmużny. Na darmo szorowali go przez dwie godziny, na darmo zamaczali w wodzie z proszkiem, szarym mydłem i masłem (to na wypadek smołowej czerni), na darmo darli skórę ryżową szczotką.

Został takim, jakim był od tego dnia, aż po kres dni (bez jednego) - czarnym jak najczarniejsza noc.

I z białą kobyłką udała się próba. Tę obmyślili inaczej, jak to mądrale. Zresztą, kto to widział, żeby myć bydłę? Wysmarowali biedaczkę miodem, poprowadzili do pasieki Błocha. Tam zabrały się za kobyłkę pszczoły. Co miała robić? Padła na ziemię, by zetrzeć z siebie pszczele plemię. Pogryziona do krwi, poobijana do kości - nie zmazał winy. Została biała jak mało który anioł.

Pod wieczór Łominy musiały się przyznać do tego, co już było widać od rana: wielka wieś z wszystkimi ważnościami świata obracała się w gównu.

Na darmo czekał mechanik z Będkowa, by puścić w ruch projektor z nowym filmem. Akurat miał być „Rashomon” a z nim cztery prawdy w jednej. Za dużo. Zresztą, kogo to teraz obchodziło?

Łominy rozpaczały po wielkiej stracie. Na placu przed czworakami zapłonęło ognisko, połała się wódka, poszły w ruch narzekania.

Jałmużna nie pił z innymi. Wziął wprawdzie flaszkę wódki i dwa pętka kiełbasy, ale zjadł i wypił u siebie. Czuł tak dobrze jak mało kiedy, że nie wolno mu pić i jeść z byle kim.

Od następnego dnia ruszyły pielgrzymki. Z okolicznych wsi, miast i miasteczek walił tłum tak szeroko, że nie starczało drogi. Szli, jechali, zmierzali - czym kto miał: piechotą, furmankami, traktorami, motorami, samochodami. W Glirmiku wylądował nawet samolot z dygnitarzem i jego kochanką. Ale przecież cud był najwyższej miary. Trzeba to powiedzieć wyraźnie. Nie żadne byle co, tylko poczernienie z wybielaniem naraz. Kto to miał gdzie indziej? Ksiądz dobrodziej stękał coś wprawdzie o Lourdes, Fatimie, ale nikt nie słuchał.

- Takie zamorskie kraje... A bo to pewne, że Pan Bóg tam zagląda? A tu - proszę bardzo: czarne na białym... to znaczy Jałmużna na swojej kobyłce. Widać od razu. Za pierwszym spojrzeniem.

Jałmużna nie zmarnował błogosławionej czerni. Co to to nie. Obrócił ją na użytek już w pierwsze dni nowego życia. Z pomocą Jałmużninki uporządkował tłum pielgrzymów, skierował ludzki strumień w korytarze z pastwiskowych żerdzi.

Korytarze doprowadzały do kasy biletowej. Bilet nie był drogi. Wszystkiego trzy pięćdziesiąt. Paczka papierosów. Marna cena. Ale też nie wypadało brać więcej. Kto to widział zarabiać na cudzie?

Przedstawień było pięć dziennie. Jałmużna odgrywał je na placu przed czworakami. W dramatycznych obrazach przedstawiał historię bydłęcego wybielenia i ludzkiego szernienia. Do pierwszej części malował twarz białą szminką, potem „budził się” nagle, zmywał szminkę na oczach widzów, pozwalał się oglądać i dotykać.

Z czasem spektakle rozrosły się do formy trzyaktowej z komentarzem z magnetofonu i statystami udającymi pospólstwo z Łomin. Scena z pospólstwem miała objawiać widzom głupotę prostego ludu. Statyści biegali wtedy po placu, przewracali oczami, toczyli pianę z ust i bełkotali coś w obcych językach.

Tak było przez siedem lat. Przez ten czas Łominy podupadły. Stały się jedynie anonimowym szlakiem prowadzącym do dworu. Nikt tu się nie zatrzymywał, nikt nie załatwiał spraw. Ludzie co najwyżej pytali o drogę.

Pod koniec siódmego roku, w listopadową noc, dworus Stefan Jałmużna zbieleł tak samo zwyczajnie jak kiedyś szerniał.

Odkryła to młódka, jedna z wielu polegających wtedy przy boku starego. Spojrzała na Jałmużnę i zamiast murzyna zobaczyła białego starca. Krzyknęła wniebogłosy.

Nim wiadomość doszła do Łomin, Jałmużna wisiał już na przeznaczonym mu drzewie.

Biała kobyłka pozostała w bieli. Z rozpaczy poleciała na niebieskie łąki. Jakoś tak zwyczajnie, bez skrzydeł, sama z siebie.

Od autora:

Prawdziwy „czarny dworus”, Stanisław Mierzwa z majątku Popielawy, nie szerniał od razu. Czerniał przez miesiące, a nawet lata, dając lekarzom szansę na badanie jego fenomenu. Niestety - nie odkryli przyczyny, choć bardzo się starali.

Stanisław Mierzwa zmarł dożywszy słusznego wieku. Jego biała kobyłka żyje do dzisiaj.

### SZEWSKA MIŁOŚĆ czyli wielka odmiana Helenki B.

Miłość przychodzi różnie. Badełek słyszał o tym nie raz. Mówili przez radio, że miłość może napaść w każdej chwili życia, nie zważając na wiek, wyznanie i ogólne poglądy. Badełek miał pięćdziesiąt dwa lata, był rzymskim katolikiem, zaś jego poglądy obracały się w kręgu szewstwa, bowiem był szewcem w Łomińskim przysiółku. Szewc nie bał się miłości. Rozprawiał o niej chętnie z każdym, kto przyjechał do warsztatu.

- Wielkie mi rzeczy... taka miłość... To samo, co jedzenie, spanie i robienie butów. A to nie kochało się parę razy w życiu?

W tym miejscu rozmowy szewc zwykle kłamał, bowiem miłości jeszcze nie znał, chociaż znał wiele innych ważnych spraw.

Ta akurat sprawa przyszła razem z zimą. Radio miało rację ogłaszając, że na miłość nie trzeba specjalnej pory. Do warsztatu szewca miłość weszła razem z nauczycielką z Łaznowa i parą jej skórzanych kozaczek.

- Naprawię w pierwszej kolejności - powiedział szewc, czując, że chce powiedzieć coś całkiem innego. Mogło to brzmieć na przykład tak:

Moje biedne serce

Nad szewskim kopytem

Zawisło w rozterce

I o ciebie pyta

Kozaczki naprawię

Jak madonnie w niebie

Serce moje krwawi

I pyta o ciebie

Czy jesteś prawdziwa

Czy może ułudna?

Moja miłość żywa

Twoja stopa cudna

Wiersze lgną do ciebie

I już od tej pory

W warsztacie, jak w niebie

-Szewc z miłości chory.

Przez całą noc Badełek nie ruszył się od warsztatu. Śnieg sypał jak sypał, mróz mroził jak mroził, wiatr odwracał ludzkie zamiary, a szewc Jan Badełek naprawiał śliczne kozaczki. Nawet nie miał

czasu ucieszyć się tym, że razem z miłością odkrył poezję.

- Widać tak może być, że człowiek staje się wszystkim naraz w jednej chwili. Ja na przykład stałem się naraz kochankiem, poetą i nieszczęśliwym człowiekiem.

Tak myśląc - miał tylko połowę racji. Druga połowa należała do Helenki Badełkowej, żony szewca. Ta druga, a może nawet trzecia połowa racji (w szewskiej miłości nie obowiązują zwykle rachunki) miała się wkrótce objawić z siłą nie znaną dotąd w Łomińskim przysiółku.

Na razie jednak szewc poszedł pod okno ukochanej, by się pozbyć pięknych kozaczków, a wraz z nimi trzech palców u rąk i siedmiu u nóg. Stało się tak za sprawą mrozu, który nie odróżnił oczekiwania w ważnej sprawie, od takiego, które ma za cel rzeczy poślednie i pospolite.

Szewc trzymał kozaczki trzema palcami, za cholewki, tak jak należy. Trzymał godzinę, dwie, dwanaście. Aż na koniec wyszła nauczycielka, sięgnęła po kozaczki, oderwała je od ręki szewca wraz z trzema palcami, podziękowała, wróciła do izby. Od tej chwili, a dokładniej rzecz ujmując - od powrotu Badełka do warsztatu, racje zaczęły się odwracać.

Kiedy Helenka Badełkowa odkryła brak trzech palców u dłoni męża, a potem siedmiu u jego stóp - nie zezłościła się wcale.

-Wiem, zakochałeś się. Cała wieś o tym mówi. To z miłości. Wiem, wiem... miłość... Czytałam o tym w książkach.

Po tych słowach sięgnęła do rozporzeczka szewca, sprawdziła, westchnęła z ulgą i dodała jeszcze:

- Dobrze, że kozaczki trzymałeś w lewej ręce. Pan Bóg czuwał nad twoją miłością.

Przyszła chyba pora na parę zdań o Helence.

Za Badełką poszła jako młódka. Szewc dobiegał wtedy czterdziestki i nie miał wielkiego wyboru. Więc wziął za żonę siedemnastoletnie ciele o dwóch specjalnościach - przybieraniu na wadze oraz egzaltacji. Już w dzień ślubu ważyła Helenka dziewięćdziesiąt siedem kilo. Przy tym wzruszała się, czym popadło. Rosiła łzami świeżo wzeszła trawkę, motylka, który spadł, wróbelka, który nie doleciał, polną myszkę, żabkę, kundelka, a nawet wiosenny deszcz, choć to głupota płakać z deszczem, bo i tak nikt nie zauważy.

Taka była Helenka, aż do tego zimowego wieczoru, kiedy zobaczyła mężowskie kikuty i złamane serce.

Już od następnego ranka, nie odkrywając przed nikim swoich zamiarów, zabrała się do cichej roboty.

Najpierw oddała się na zapleczu sklepowemu Ściborkowi. Za tę przysługę miała dostać informacje o wadze, wyglądzie i wykształceniu nauczycielki. Sklepowy obiecał też zrobić zdjęcie aparatem „Zorka”. Obietnicy dotrzymał. Postawił nauczycielkę na wadze uchylniej oszukując, że chodzi o zakład, potem pstryknął zdjęcie, a za dwa dni dostarczył Helence komunikat na kartce wyrwanej z zeszytu faktur zwrotnych.

Komunikat:

Nauczycielka Miazek Zofia. Wiek z wyglądu 28 lat, wzrost (zmierzony) 161 centymetrów, waga 53 kilogramy (błąd w granicach 1-go kilograma), oczy niebieskie, wykształcenie wyższe (matematyka na Uniwersytecie Łódzkim).

Miłość ma wielką siłę. O tym nie mówili w radiu. Może gdyby mówili, szewc zrobiłby więcej dla zdobycia nauczycielki. Zdawało mu się, że ofiara z dziesięciu palców i blisko dziesięciu tysięcy wierszy wystarczy za dowód największej miłości świata. Nie wystarczyła. Minęła wiosna, lato, przyszła jesień, a nauczycielka dalej chodziła z zaszytą dziurką i zaszytym sercem.

Za to Helenka Badełkowa odmieniła się nadzwyczajnie. Przestała się wzruszać byle czym, zdała maturę w Radiowym Technikum Rolniczym i zapisała się na Uniwersytet. Tego nikt nie mógł przewidzieć. Na darmo zatrzymywał ją Badełek w dzień odjazdu.

- A kto mi będzie gotował, kto prał, kto wykrawał zelówki do kamaszy w czasie pisania wierszy?

Jestem nieszczęśliwie zakochany i należy mi się chyba jakaś opieka?

- Jadę do Łodzi, na studia - odpowiedziała Helenka i tyle ją widziano.

Przez pięć lat szewc napisał tylko dziesięć nowych wierszy. Akurat tyle, ile stracił paluchów. Po jednym wierszu na jeden zaszary paluch. Mało. Ale przecież sam musiał sobie gotować, sam prać, sam palić w piecu i sam pocieszać w smutkach. Skąd było brać czas? Nie zapamiętał też pór roku. Te przeminęły niepostrzeżenie, bez żadnych zachwyców. Bez tych zwykłych kiedyś ściśnięć gardła, zapatrzeń w mgłę ponocną i łez ślizgających się po kapocie.

Tak mogło być do końca świata, ale na szczęście nie było. Również w pięć lat od zakochania do warsztatu znów weszła nauczycielka. Była piękna, szczupła i pachnąca - jak zawsze. Jej oczy płonęły. Za chwilę odezwała się głosem Helenki Badełkowej:

-To ja, ukochany - twoja żona Helenka. Wróciłam na zawsze do Łomińskiego przysiółka. Ważę równo pięćdziesiąt trzy kilogramy, w torebce mam dyplom ukończenia studiów, będę uczyć matematyki w szkole w Łaznowie.

Od tego dnia życie szewca wróciło do normy. Każdej nocy kochał się z nauczycielką, każdego dnia naprawiał buty.

A wiersze? Komu wiersz potrzebny w świecie? Ten idiota to poeta. Kopnij w tyłek „Boże dziecię” Niech się zesra wierszokleta.

Lub

Komu wiersz potrzebny w świecie Ten idiota to poeta Kopnij w dupę „Boże dziecię” Niech zna miarę wierszokleta.

Lub jeszcze inaczej.

## PIORUN

czyli podziemne życie Władysława Lubickiego

To nie była zwykła burza. Zgodność w tej sprawie Glinnik uzyskał już drugiego dnia po wypadku.

Zwykłe burze mają serce. Zapowiadają się jaskółkami spadającymi do stawów, niebem zaciągniętym od brzegu do brzegu, czy przynajmniej wiatrem kładącym pszenice, jeżeli akurat rządzi lato. Przy takim obrocie spraw człowiek ma trochę czasu, żeby przestawić duszę na smutki, usiąść w jakimś pierdolonym kącie i umrzeć na chwilę.

W Glinniku wszystko przebiegało odwrotnie, i to nie tylko w sprawie burz. Ludzie przybyli w to miejsce z innego końca świata. W tamtym innym końcu świata rozebrano ich domy, posiano beton i puszczono samoloty na niebo. Radzi nie radzi - zapadli wraz z przychówkiem w to głupie miejsce, położone w połowie drogi między Łominami a Smykowem, o krok od dworusów z dawnego majątku.

Nie było tu żadnej zgody na nic zastanego. Osadzeni w Glinniku nosili wyżej głowy, siali lewymi dłońmi, nie dotykali pospolitych kobiet, a ich Matki Boskie malowano jaśniej i wyraźniej.

Za to w uporze byli ciemni jak mało która noc. Nic dziwnego, że wkrótce przymusili do swojego porządku nawet tak niezależne byty jak: ptaki przelotne, kundle polne i wiosenne deszcze.

Tylko z burzami im nie wychodziło. Te miały siłę i bezczelność. Mruczały po swojemu, mieszały powietrze, gromiły jak chciały.

Tak było aż do tego maja, w którym Lubicki pojechał pod Smyków, żeby złapać burzę, wcisnąć jej kielzno do pyska, przygiąć łba, schować do bańki od mleka, powieźć do obejścia i pokazać

dzieciakom. Taki był plan, ale burza nie poznała się na jego powadze. Pioruny zabrały się za Lubickiego, jego wóz i parę gniadych już od chwili wyjazdu na drogę za Glinnikiem. Na chłopinę zważyło się całe niebo. Jasności, która się wtedy otworzyła nie udało się z niczym porównać. Wystarczy powiedzieć, że ludzie zobaczyli wtedy własne kiszki, żyły i kości, a kto stał przy ścianie, zostawił na niej na zawsze zdjęcie swojego kościotrupa.

Tymczasem Lubicki, jak to ciemny chłop, wymachiwał ogłowiem z kielzmem, rozpuszczał przekleństwa w powietrzu, strzelał z bata, przyzywał burzę do posłuszeństwa.

Aż jebnął piorun w sam środek łba i niebo umilkło w jednej chwili.

Wtedy narodziła się cisza. I ta była inna od cisz znanych do tej pory. Ludzie usłyszeli najpierw szum własnej krwi, a potem szelest zbóż z miejsc narodzenia.

Zaczadzenie nie trwało długo. Minutę, może dwie. Na szczęście, bo trzeba było ratować Lubickiego.

Zrobili to po swojemu, jak wszystko inne dookoła.

Zakopali chłopinę w ziemi, żeby ta wyciągnęła elektryczność i przywróciła życie w głupim.

Zaczęło się czekanie.

Czekali wspólnie: Lubicki w ziemi, a na niej - żonisko, dzieciarnia, dla której miał być przywieziony piorun w bańce od mleka, sąsiedzi, ich dzieci i zwierzęta...

Może lepiej było napisać, że czekali wszyscy, bo też - czekali.

Aż po trzech godzinach głupi otworzył oczy.

- Złapałem skurwysyna? - zapytał.

- Nie złapałeś, Władziu. To on, ten skurwysyn złapał ciebie - odpowiedziała Lubicka.

Tak zakończyła się rozmowa. Zaraz po niej zabrali się do odkopywania swojaka. Rozruszyli ziemię motykami, chwycili za ręce i nogi, pociągnęli, wydobyli na powierzchnię. Ledwo to uczynili, Lubicki na nowo przestał oddychać.

Oczy mu zaszyły błoną, ciało się wyprężyło i umarł nim zdążyli zrozumieć, w czym jest błąd. Szybko wykopali nowy dół. Już nie dbali o delikatność. Wrzucili umarłaka jak worek kartofli, przysypali ziemią, usiedli do czekania.

Po trzech godzinach głupi po raz drugi otworzył oczy.

- To jak, żyję już czy jeszcze nie? - zapytał w pierwszych słowach. -A bo to wiadomo... - odpowiedzieli chórem i znów zabrali się do odkopywania.

Gówniana to była robota, bo wszystko się powtórzyło jak ostatnim razem. Ledwo wyciągnęli głupiego z ziemi, a już nieżywe zamknęło mu ślepia i wyprężyło członki w tym jeden wstydlivy.

Co było robić. Wykopali trzeci dół, wrzucili Lubickiego, ukleпали ziemię jak na mogile i poszli na podwieczorek.

Tym razem ożył dopiero nad ranem. Przerażliwym głosem przyzywał współplemieńców. Kiedy się zebrali, wygłosił oświadczenie:

- Ja, Władysław Lubicki, syn Mariana i Franciszki z domu Pęcherz, oświadczam, że zrozumiałem. Wygląda na to, że Pan Bóg odwrócił we mnie porządek. Tam gdzie żyją żywi, czyli na ziemi - ja jestem trup. A tam gdzie leżą zmarli, czyli w ziemi -ja jestem żywy człowiek. To dobra kara za moją głupotę. Niby chciałem złapać piorun do bańki od mleka, ale tak naprawdę - chciałem zająć nie swoje miejsce. No to mam teraz, co mi przynależne. Niech tak będzie, póki nie zmienia się wyroki. Amen.

Lubickiemu łatwo było mówić. Powiedział i tyle. A Glirmik? Przecież cała osada musiała coś z tym zrobić. Więc poszli po rozumy do głów, uzbierali z tych osobnych wysiłków jakąś większą myśl i wzięli się do kopania odwróconej chałupy. Taka im wyszła mądrość z tych maleńkich głupotek:



- Jak musi żyć w ziemi, to niech sobie żyje. Urządzimy mu tam odwróconą chałupę - kominem do piekła. A resztę niech już sobie sam urządza...

Jak postanowili tak zrobili, ale nie poszło to łatwo. Ciągłe coś dorzucał Lubicki, posyłając umyślnych na pole za stodołą (tam mu kopali chałupę).

- Izba ma być dymna, oknami na wschód! -wrzeszczała drobniaczka posyłana z podwórka do kopaczy.

-Rzeczkę trzeba mu wpuścić na obieg podwórka i jakieś budki ulepić dla kretów!

Za tydzień wszystko było gotowe - chałupa, podwórko, faszynowe płotki, dwa stajki ziemi pod kartofle, niewielka rzeczka oraz kapliczka do wymodlenia odpuszczeń. Teraz wystarczyło podkopać Lubickiego od spodu, spuścić go w korytarz pod podwórkiem.

Tak uczynili, a potem zmęczeni wrócili do rodzin.

W niedzielę doszły ich podziemne śpiewy, a po nich głos umarlaka domagający się nowych usług.

- Spuścić mi tu konia, pług, bronę, obrok, siano, ziarno siewne i cztery metry sadzeniaków.

I tę przysługę wykonali bez narzekań.

Wkrótce ziemia pod ziemią zadudniła. To Lubicki orał przedpiekle. Słychać było przekleństwa miotane w zad gniadego i sypanie ziarna.

Tego lata rodzina umarlaka miała dwa żniwa - wszystkie udane i obfite. Nic dziwnego, że w porę jesiennych orak, orało już pod ziemią dwunastu oraczy. Pozazdrościli Lubickiemu szczęścia, więc opuścili w przedpiekle zwierzęta i połowę dobytków. Podzielili się na pół, by wiosną się podwójnie pomnożyć. Tęsknie też spoglądali w niebo, trzymając na podorędziu wiele baniek od mleka.

Widziało się przy burzy, jak ten czy tamten biegał po polach, podstawiając głupi łeb pod Boskie wyroki.

## LIPA WISIELCÓW czyli nieudana jesień w Smykowie

Jak każdego roku Smyków czekał na jesień. Nie mógł czekać na nic ważniejszego, bo był wsią gównianą.

Miał cztery chałupy wciśnięte w piach, lichej grunt dookoła, parę drzew pokracznych i drogę wiodącą do świata. Droga była słabo wyjeżdżona, bo nikomu nie chciało się stąd ruszać. No, chyba że na zawsze...

W Smykowie rzadko słyszało się krzyk narodzonego, bowiem żyjące tu kobiety były wysuszone i niechętne. Do tego bieda miała swoje kalkulacje.

Dziecko trzeba było karmić, ubierać, wyjaśniać mu sprawy, posyłać do szkół, skąd już nie wracało, bo niby po co? Zresztą rodziło się tu tylko złodzieje i raz na jakiś czas - poeta, który potem opisywał miejsce urodzenia jako ziemię ciemną i zasraną. Po co to komu?

Na jesień czekało się tu od zawsze, to znaczy od tej pory, kiedy lipa wisielców udźwignęła pierwszego, który ją sobie wybrał.

Lipę posadził Antoni Kaczuba. W swoim czasie wcisnął drzewko w ziemię z gniewem, miotając przekleństwa i wyprasząc śmierć. Więc urosła lipka posłusznie, szubienicznie, jedną gałęzią na bok. Ale nie usłużyła Antoniemu. Biedak zaginął gdzieś w świecie. Przez jakiś czas czekali ludzie na jego powrót, aż zapomnieli, na kogo czekają. Od tej pory wyglądali już tylko jesieni.

Tego roku przyszła o dzień wcześniej. Józef Kaczuba, prawnuk Antoniego, zobaczył ją przez

okno i zaraz pod sercem zaległa mu się rozpacz. Ta oznaka była nieomylna. Nazywała jesień trafniej, niż najmglejsze mgły i najdymniejsze dymy rozwleczone nad kartofliskami.

Ta rozpacz była jesienna. Józef poznał ją po radości, jaką przyniosła, oraz po tym, że narodzona sprzeczność za chwilę umarła. Zostało po niej zmieszanie jednego z drugim, mające potrwać aż do zimy.

Tymczasem jesień zabrała się za lipę wisielców, bo to była jej najważniejsza sprawa w Smykowie. Zawinęła się wiatrem nad gałęziami, poluźniła drzewne uściski, zmiotła liście, okadziła dymem od pola i poleciała do innych wsi.

Kaczuba miał już swoje obliczenia. Nie na darmo zameczał się przy konopiach. To dawało rozum. W dniu zobaczenia jesieni ogolił się starannie, przywdział kościelne ubranie, przysiadł pod lipą i przerachował jeszcze raz.

-Listonosz Wiktoreczek. Ten przyjdzie na pewno. Niby po co najeżdżał księdza, wypraszał przysięgi, że jest życie po tamtej stronie? Zastraniec. Jest czy nie ma, i tak przyjdzie listonosz, bo go nieżywe przymusi. Nieżywe nie jest głupie. Niby głupsze od żywego, ale jak już raz wejdzie w człowieka... Przyjdzie Wiktoreczek, a może nawet przyjedzie na tym ładnym rowerze. Długie chłopisko, patykowate. Wystarczy kamień pod nogi. A swoją drogą, po co chciał wiedzieć do przodu? Głupota jakaś. Powiesi się, to zobaczy.

Drugi będzie Heniek Opasów z Wilkucic. Przyjdzie od zachodniej strony, od Olszowy. Zmarnowane życie... Co innego niż listonosz. Zabiły go kopalnie na Śląsku. Zapaskudziły płuca, podziurawiły kości i głowę. Po kopalni nie umiał już wygodzić babie, bo mu oddechu brakowało. To poszła do innych chłopów, zamraczając ich wódką za pieniądze z Heńkowego nieszczęścia. Aż przeszły pieniądze i przeszła uroda. Babie zostało kurewstwo, a Heńkowi sznur od Kaczuby. Już by się nawet powiesił nieraz, ale źle wyliczał drogę. Oddech kończył mu się pod Olszową, więc zawracał do Wilkucic i czekał na następną jesień. Ostatniej doszedł prawie na skraj Smykowa, ale go zawróciły bociany, znaczące odlotem koniec pory wisielców.

Kto trzeci? Może Kaziu Kufel spod Bukowa?... Najpewniej. Tego będzie szkoda specjalnie, bo razem z nim odejdzie najlepsze rzemiosło w okolicy. Jeszcze się nie *zdarzył* motor ani rower, któremu by Kufel nie zaradził. Niech będzie zepsute, co chce - dynamo, karter od silnika, kierownik albo suport od pedała - Kaziu naprawi za psi grosz. Listonoszowi tak wymalował rower, że na jeden sezon zapomniał o wieszaniu (listonosz). Lakier wypalił w piecu i jeszcze nadmuchał mgiełki z różnych kolorów. Szkoda będzie Kufla, bo zabierze do ziemi dobre rzemiosło, a razem z nim tajemnicę zdejmowania trucizny z denatury.

Na ten dzień Kaczuba zakończył rachunki i poszedł płakać. Miał miękkie serce, więc wypłakiwał się na zapas, żeby nie ranić swoją żalnością samobójców. Potrzebne im to? Nie dość mają własnych smutków?

To prawda, korzystał z lipy pradziada ile się dało. Był powoźnikiem, doradcą na ostatniej drodze, ale przecież - nie katem. Dobierał najlepsze sznury, podpowiadał jak ułożyć pacierz przy szarpnięciu, jak napisać list do rodziny, a nawet czasem sam prowadził rękę mniej gramotnym. Wszystko po to, żeby ulżyć zasnącom. Nie inaczej. Przy okazji bywał też spowiednikiem i trochę księdzem, bo szeptał to czy tamto po księżowsku, zamykając oczy umarlakom. Nauczył się tego sam, bez nikogo, tak jak wielu innych rzeczy w życiu. A że nie odradzał wieszania? Nie odradzał, to prawda. Ale przecież znał każdego człowieka ze swojej lipy, więc znał też każdą przyczynę. Wszystkie były śmiertelne, więc po co odradzać? No, może tylko po to, żeby zasłużyć przed Panem Bogiem, przypodchlebić się trochę, żeby ulżyć sobie w swoją własną godzinę.

Ale czy to rozumne? Czy Pan Bóg da się oszukać głupiemu Kaczubie?

Z takimi wątpliwościami zasmarkany Kaczuba położył się spać. Sen przyszedł szybko.

Podobnie szybko przyszło przebudzenie. Po sześciu godzinach cmoka. Zejścia mgły doczekał

Kaczuba już na dobre przysposobiony do śmiertelnej roboty. Siedział na ławce pod oknami chałupy, trzymał przy nogach wiklinowe kosze, a w nich powrozy na każdą okazję. Miał na sobie dobre ubranie, ale nie świąteczne, tylko codzienne, z kieszeniami. Trzymał w nich same przydatne rzeczy: w jednej kozik dobrze naostrzony, w drugiej książeczkę do nabożeństw, w trzeciej drobne pieniądze do wydawania z grubszych (po trzy razy sprawdzali zasrańce czy ich Kaczuba nie oszukał), w czwartej papierosy dwóch gatunków i zapałki do przypalania.

Czekał, ale nie za długo. Ledwo uwyraźniła się droga odchodząca od Glinnika, a już na jej końcu zobaczył człowieka. Przymrużył oczy żeby przypatrzeć się dokładnie i w tej samej chwili przeraził się śmiertelnie. Nadchodzącym nie był ani Wiktoreczek z Popielaw, ani Opas z Wilkucic, ani Kufel spod Bukowa.

Nie to jednak przeraziło Kaczubę. Nawet do głupiego Smykowa czasem ktoś nadchodził. Ten jednak nadchodził do lipy, do wieszania. Najwyraźniej.

Poznać to można było po wszystkim, po czym się poznaje: pochyleniu głowy, stawianiu nóg, patrzeniu jak najbliżej siebie, żeby dopiero na chwilę przed śmiercią spostrzec trujące drzewo.

Tak nadchodził obcy.

W połowie drogi do Glinnika, można już było zobaczyć to czy tamto.

Mężczyzna miał jakieś trzydzieści lat, był delikatnej budowy i słabego zdrowia. To drugie rozpoznał Kaczuba po krótkim oddechu (była już ta pora, kiedy oddech mgli się w powietrzu). Miał na sobie ciemny garnitur, a na nim jasne paletko. W rękę trzymał walizeczkę. Ukrywał chyba w niej ważne rzeczy, bo ścisnął rączkę aż do białości. Walizka była z dobrej skóry, podobnie jak buty, którymi podnosił kurz z drogi.

Szedł, szedł, aż na koniec doszedł, postawił walizkę i nie patrząc w oczy Kaczuby odezwał się grzecznie.

- Dzień dobry, panie Józefie.

Tak zaczęła się rozmowa, która miała potrwać tydzień i niewiele zmienić w życiu Józefa Kaczuby.

- Dzień dobry. A skąd zna moje imię? Przecież obcy.

- Ja też Józef. Rozpytywałem...

- To mówić mu Józef, czy pan Józef? O co rozpytywał?

- Józef. Po imieniu, jak młodszemu. Nie mam jeszcze trzydziestki. O lipę.

- To znaczy, w sprawie wieszania ta wyprawa?

- Jeżeli pan pozwoli.

- Ja? A co ja mam do pozwalania? Drzewo tu nawet ważniejsze ode mnie. Ja tylko dodatek do drzewa...

- Dodatek do drzewa? Pięknie powiedziane. Soczyście i poetycko.

- Pan specjalista od słów?

- W jakimś sensie... ale po imieniu miało być.

- Teraz to ja się nie odważę. Pan mocny w słowie, a ja szanuję mocnych i nie jest ważne, w czym ta moc umieszczona.

Tu nastąpiło pierwsze milczenie. Obcemu zaszklily się oczy. Sięgnął po walizeczkę, podszedł do drzwi, usiadł na progu, położył walizeczkę na kolanach i otworzył. W środku nie pokazała się żadna z ważnych rzeczy, których nadomyślał się Kaczuba prowadząc przybysza wzrokiem. Nie było tam ani koszuli, ani spodni, ani chusteczki, ani świętych obrazków.

Na płóciennej wykładzinie leżała niewielka, chuda, blada książeczka. Bystre oko Kaczuby dostrzegło tytuł: „Droga do...”. Milczenie potrwało jeszcze przez chwilę. Kiedy minęła, obcy odezwał się niepełnym głosem:

- Całą moją moc pogrzebałem w tym dziełku. Można powiedzieć, że ta książeczka jest moją

trumną. Odkąd ją napisałem, a potem wydrukowałem - nie potrafię już niczego. Literalnie niczego.

- Literalnie, to znaczy jak?

- Dosłownie. To znaczy - nie całkiem dosłownie. Robię oczywiście to, co utrzymuje mnie przy życiu. Jem, piję, chodzę... ale nic więcej. Wegetacja. Nawet zdolność posiadania kobiet zatraciłem. No, wie pan... impotencja.

- Wiedzieć to nie wiem, ale różne rzeczy się słyszało...

-No właśnie...

-A ta „droga do” to właściwie dokąd droga?

-Czy ja wiem,...

- To znaczy, dokąd?

- Na razie doprowadziła mnie tu, do tej pana szubienicznej lipy. Przedkres... przystanek przed niewiadomym. Właśnie - „droga do”... Dokądś.

-A pisać dalej pan nie próbował?

- Czy pan głuchy, czy idiota?! No przecież to jest cały powód! Od jakiegoś czasu próbuję to panu wytłumaczyć. Powiesiłem się na tej pana pierdolonej lipie, bo nie umiem napisać drugiej książki!

-Wolnego! Smarkaczu. Jeszcze się nie powiesiłeś i może nie powieszisz - bo zabronię! Nikomu nigdy -jak Boga kochani - nie zastawiłem drogi do mojej lipy. Nikomu! Ale już czuję, że ty będziesz pierwszy! Przepraszać mi tu zaraz, bo postronkiem grzbiet wygarbuję!

- Przepraszam.

- Przepraszam panie Józefie...

- Przepraszam... panie Józefie.

-No, tak już lepiej... Nie trzeba się unosić nawet w godzinę śmierci. A z tą twoją książką to może jest tak, że napisałeś wszystko, co najlepsze, lepszego nie będzie, to po co pisać dalej? Już napisane. Pan Bóg na ten przykład, stworzył świat najlepiej i już nie próbuje więcej. Stworzone. No, wprawdzie sparszywiało przez te lata od stworzenia, ale na początku było doskonałe. Zresztą z tym pisaniem... Słowo zapisane i... martwe od razu. Łup na papier i...niczyje. Trup. Gównno warte takie słowo. Jak mówisz słowo, to ono idzie po powietrzu, trzyma się bo ma czego, żyje, opija się wilgoci, matowieje, albo przesycha w słońcu, dźwięczy... A po mgle jak idzie... Jak złoto, jak srebro, jak szkło. A nocne słowo, przed burzą, pod lasem... Powiesz, biegnie, odbija się, wraca. Żyje. A słowo odpowiedziane? Piękne słowo, bo - międzyludzkie. Wraca do ciebie przemienione. Wiem, co mówię, bo pomijając wisielców nikt tu ze mną nie gada. A kiedyś... gadało się. Takie słowo... rozmowne, to prawdziwy skarb...

Kaczuba zawiesił głos i tak już zostało. Przyszła chwila drugiego milczenia. Ta była dłuższa od pierwszej, bo trwała równo godzinę. Milczenie też było innego gatunku. Lepszego. Czuło się jego wzrastającą siłę, nasycanie się czymś tkliwym i budzącym nadzieję.

Wkrótce rozmowa wróciła tak jak odeszła - ustami Kaczuby.

- A w miejscu skąd przychodzisz nie miałeś drzew? Trzeba było aż tu, do mnie? Ja wiem, moja lipa dobra, mądrze rosnąca, ale żeby tyle drogi... Skąd?

- Z miasta Łodzi.

- Z miasta Łodzi? Kawałek drogi...

- Mamy drzewa. To znaczy - są drzewa, ale ja żadnego poczucia przynależności do tych drzew - nie miałem. Zresztą nie tylko do nich. To jest kolejny powód z rzędu powodów śmiertelnych. Alienacja., no, wyobcowanie. A ta pańska lipa... Ja już nawet teraz wiem, że ona bardziej moja niż te wszystkie miejskie szubienice.

- No, teraz to powiedziałeś naprawdę pięknie. Jak prawdziwy pisarz. Pięknie i mądrze. Tak właśnie jest z rzeczami w świecie. One są najpierw wszystkich, a potem... niczyje. Posłusznieją

dopiero w obliczu c z e g o ś. Na przykład śmierci - tak jak w twoim przypadku, albo na przykład... samotności, czy tej tam... miłości. Wtedy stają się twoje albo moje. Powiesz: „moje drzewo”. Gównu twoje. Umarłeś, a ono stoi. Czyje jest wtedy? Dalej twoje, kiedy ty już pomieszany z ziemią? Do drzewka trzeba się dodać życiem, albo odjąć się od niego. I tu już przybliżamy się do największej ważności pośród wszystkich ważności świata. Siebie należy zobaczyć jako część przynależną, a nie całość oddzieloną. Napiszesz wtedy książkę z soku brzoźowego, ze szreni przyziemnej, z łąkowego dymu. Z wszystkiego. Tak mi się zdaje...

Po tych słowach Kaczuby zapadło trzecie milczenie. To było najdłuższe. Dotrwało z milczącymi aż do zmierzchu. Potem - dalej bez słowa - poszli spać. Kaczuba odstąpił obcemu swoje łóżko, sam zaś położył się na kozetce. Nie zapomniał o modlitwie. Odmówił ją w myślach, prosząc kogo się tylko dało o odpuśczenie grzechu pychy.

Następny dzień otworzył się jak kartka, w jakiej bądź książce. Kaczuba nie obudził się o siódmej rano, ale dwie godziny później. Pierwszym, co uczynił, było pospieszne spojrzenie na łóżko i po odkryciu nieobecności pisarza - zamknięcie oczu.

Otworzył je dopiero po podejściu do okna. Nie spełniło się przewidywanie. Na lipie nikt nie wisiał. Kaczuba zobaczył zwyczajny dzień i zwyczajnego człowieka, dotykającego drzewa jak drzewa - nie jak szubienicy. Odetchnął z ulgą.

Wkrótce usiedli do śniadania, zjedli jajecznicę, popili herbatą z cukrem, przegryźli pszenną bułką z masłem. Nie rozmawiali. Na rozmowę miał przyjść czas później.

Kiedy nadszedł, zasiedli do niej tak, jak poprzedniego dnia - każdy na swoim miejscu.

Pierwszy odezwał się Kaczuba.

-A taką książkę to jakoś specjalnie się pisze?

-W jakim sensie?

-W każdym... Czy można zwyczajnie, z marszu, z drogi od innej roboty, czy raczej świątecznie, po nastrojeniu się? Drewno jak rąbię na przykład, to zwyczajnie, bez specjalnego namysłu, a nawet bezmyślnie. Nieuważnie. A już z wypiekaniem chleba inna robota, bardziej świąteczna... Pamięta się oranie, sianie, dogłądanie, wyczekiwanie, zbieranie, mielenie. Pamięta się i stąd świąteczność takiej pracy. Z drewnem inaczej. Człowiek nie świadkował wszystkiemu...

- Czyja wiem... Raczej tak jak z chlebem. -A rzemiosło?

- To znaczy?

- To znaczy, to znaczy... Normalnie znaczy. Każde rzemiosło ma swoje narzędzia, swój porządek, swój plan...

- No tak. Plan jest potrzebny. To się nazywa struktura, taki schemat z początkiem, rozwinięciem, środkiem i zakończeniem. Jeszcze kulminacja jest po drodze.

-A ta... kulminacja?

- To jest takie miejsce w książce, do którego zmierzają wszystkie wydarzenia. Płyną sobie strumykami, niespiesznie, leniwie, zabierają z brzegu to, na co natrafiają, wzbierają w rzekę, ta się rozpędza... To coś takiego jak próg wodospadu. Potem już tylko woda spada w dół i... koniec książki.

-A nie może być innego planu? Oziminę sieje się jesienią, jare zboża wiosną, a zbiera się w tę sama porę. To samo, ale według różnych planów.

-Panie Kaczuba, struktura to struktura. Co ja tu mogę?

- No dobrze. Niech tak na razie zostanie. Ale odpowiedz mi na pytanie, czy drzewo ma strukturę?

- Ma, bez wątpienia,

- Czy to jest dobra struktura? -No... chyba tak.

- To ja ci powiem. Nie „chyba”, ale na pewno. Drzewo stoi i stoi. Deszcz sieka, a ono stoi, wiatr miota, a ono stoi, człowiek się powiesi - ono stoi. Mówić dalej?

- Mówić, mówić. To bardzo ciekawe.  
- Drzewo ma pod ziemią ociupinkę siebie samego. Reszta nad ziemią. Tyle ciężaru, tyle mocy wobec tej ociupinki. I co? I nic. Stoi sobie. Gdzie w nim początek, rozwinięcie, środek, kulminacja, zakończenie? Ten początek i koniec to jeszcze by się znalazło, ale kulminacja? Sam widzisz, że struktura dobra, chociaż inaczej zaplanowana niż w książce. Ja bym książkę pisał na obraz i podobieństwo drzewa. Inaczej lipową, inaczej brzożową, strześcię i bielej, inaczej... powiedzmy... dębową.  
- No dobrze... Zgoda. Jak drzewa. Nawet mi się to podoba... inaczej dąb, inaczej brzoza...  
- Bielej i strześcię, a dąb rozłożony szeroko...  
- No dobrze, to już zrozumiałem. A bohaterowie, życiorysy, losy?  
- Ludzkie losy?  
- Ludzkie oczywiście.  
- Ludzkie losy to leżą na podorędziu. A bo to Pan Bóg nie najlepszy pisarz? Ludzkie losy... Pełno ich dookoła. Wystarczy patrzeć i słuchać. Patrzysz trochę?

- Tak mi się wydaje...  
- Tak ci się wydaje... No, jeżeli tak ci się wydaje, to ja rozumiem... że nie patrzysz.  
- Może niezbyt uważnie. -A słuchasz przynajmniej?  
Kaczuba spojrział w oczy pisarza. Trzymał spojrzenie tak długo, póki nie zobaczył tej uważności, od której zaczyna się rozmowy najserdeczniejsze. Wtedy zaczął opowiadać o Wiktorczku, Opasie, Kuflu, ojcu, matce, sobie samym i innych - żyjących, nieżyjących, mądrych, głupich, dobrych, złych i bylejakich.  
Opowiadał przez pięć kolejnych dni, robiąc zwykle przerwy najedzenie, spanie i załatwianie drobnych spraw. Pisarz słuchał, zapisywał i zadawał pytania.  
Siódmego dnia wstał z progu chałupy Józefa Kaczuby, podziękował grzecznie, pożegnał się i poszedł w powrotną drogę, nie oglądając się nawet na szubieniczną lipę.  
Wkrótce napisał piękną książkę, zbudowaną tak harmonijnie jak najlepsze drzewo. Przesłał ją do Smykowa pocztą. Nim książka dotarła do Kaczuby, jesień przeszła bez wisielców. Nie wiadomo dlaczego.

## LANDRYNKA czyli historia niezniszczalnych trzewików

Landrynki stały na stole w widocznym miejscu. Zamknięte w blaszanym pudełku, czekały na chwilę kończącą długi ciąg zdarzeń. Za każdym razem ten sam. Pudełko mieściło kilogram landrynek w kilku kolorach i smakach. Najtrudniej było trafić na białą, migdałową, więc kiedy to się zdarzało, informacja wraz z nazwiskiem szczęśliwca obiegała całą wieś.  
Stół, z nim landrynki i całe pomieszczenie należały do szewca Badelka, zaś ciąg zdarzeń uwieńczony otwarciem pudełka i uroczystym poczęstunkiem („proszę brać, nie krępować się, jedna landrynka za drogę do szewca, druga na szczęśliwy powrót”) wyglądał tak:  
Inny szewc w innej wsi lub mieście wyrabiał trzewiki, te trafiały na rynek w Ujeździe, przyjeżdżał na targ ktoś z pieniędzmi na buty i patykiem na miarę, mierzył, kupował, wioził kamasze do domu, zakładał na nogę szczęśliwca, chodziły buty do szkoły, do kościoła, do sklepu, chodziły buty ostrożnie, najostrożniej, aż ścierała się zelówka i trudna rada -jechały buty w ciemnicy toczka na wozie konnym lub w świetle krajobrazów, zwisając z kierownicy roweru i dziwiąc się, że świat taki wielki -jechały buty do szewca Badelka.  
Szewc robił, co potrzeba i nie ma co opisywać napraw, bo różnorodność zepsuć mnożyła je do

liczby niepojętej. Co innego czyniły z butami stopy męskie, co innego kobiece i dziecięce. Innym zdarciem odznaczał się na zelówce asfalt niż koci łeb czy polna koleina.

Szewc oczywiście potrafił opowiedzieć los buta przywiezionego do naprawy, ale nie zawsze mu się chciało. W to miejsce wołał ponarzekać na złą jakość skóry, która się brała ze złego ustroju, bo ten nie dbał o dietę dla świń (jeżeli o skórze świńskiej mowa).

Drogę od złego ustroju do marnej świńskiej skóry potrafił przejść w dwóch zdaniach, w których zawsze padało słowo „dialektyka”, bo szewc miał radio, a: „na coś się zawsze je ma”. Niestety, radio Badełka nie potrafiło złapać Wolnej Europy.

Ale wracajmy do landrynek stojących na ceracie w motylki, ustawionych w takim miejscu, że były pierwszym, co zauważało się zaraz po otwarciu drzwi do warsztatu. (Miejsce szewc znalazł doświadczalnie, przedstawiając pudełko tysiąc razy, a potem obserwując spojrzenia wchodzących).

Te landrynki - słodkie, owocowe, zamknięte w okrągłym pudełku, zręcznie ustawione na stole w warsztacie szewca Badełka - te landrynki były nieludzkie.

O tym, co mogło znaczyć takie słowo odniesione do landrynek, a potem przemienione w ludzki los, przekonał się w szesnastym roku życia syn szewca Tadzik Badełek. Przedtem jednak, jeszcze jako człowiek wolny od trudnych doświadczeń - nawymądrzał się do syta:

- Landrynki jak landrynki. Tak jak psie gówno to psie gówno, a nie co innego. To samo, co żołądź, kasztan, czy gruda ziemi. Kto umie patrzeć to zobaczy... Prawdę mówię... jak Boga kocham...

Tadzikowi łatwo było mówić, bo nie lubił słodczy, a i u Pana Boga wkurzało go parę spraw. Na przykład to, że prawdopodobnie wiedział o kieszonkowej przyjemności Tadzika polegającej na trzymaniu ptaka w garści. W kieszeni była dziura, ptak się w nią zaplątał i to wszystko. Osobista sprawa, w żadnym razie do podglądania z góry. A Tamten patrzył sobie, kiedy tylko miał życzenie. Czy to sprawiedliwe?

- Święty powinien zejść między ludzi, żeby zasmakować ich chleba - myślał Tadzik metaforycznie, ale nie mówił głośno, żeby broń Boże nie obrazić Rocha z kapliczki przy czerzynkach.

-Durny jesteś Tadzik jak wszystkie buty twojego ojca i do tego męczysz ptaka wyciskaniem z niego soków - myślał święty Roch popatrując na poddany mu Łaznów, Tadzika Badełka i resztę głupiego świata.

Wkrótce w życiu Tadzika wdarło się pierwsze trudne doświadczenie, po nim przyszło następne i jeszcze jedno. Wszystkie miały piegowatą twarz, krzywe nogi i wielki tyłek Tereski Rzepeckiej. Syn szewca zakochał się w niej jak każdy, ale doszedł ze swoją miłością dalej od innych. Stało się tak za sprawą kieszeni, która nie dała rady pomieścić miłości Tadzika oraz życzenia Tereski wyrażonego w słowach:

- Dam ci Tadziu poruchać, ale za landrynkę białą jak śnieg, tę najśłodsza, migdałową, o której gadają po nocach święte obrazy w sypialniach naszych babek.

Po tych pięknych słowach Tereska poszła na siano, żeby się oddać czterem braciom Lubickim za słodycz mniejszą od ćwiartki landrynki szewca Badełka. Nawet nie poczuła, że życzenie wyrażone wobec Tadzika było wierszem bielszym od bieli landrynki, której dotyczyło, zaś ona sama - pierwszą poetką w Łaznowie. Pierwszą i ostatnią, bo za rok od tej ważnej chwili, miał ją rozerwać ogier podczas próby miłości jakiej przed Tereską nie odważyła się podjąć żadna kobieta w okolicy.

Ogier poszedł na rzeź do wsi Kał, przemienionej przez mieszkańców na Kalinów w dniu wyjazdu ostatniego Żyda. Stało się to w sześćdziesiątym szóstym, a już w rok później przyszedł list z Hebronu: „Niech gówno z wami zostanie na wieki wieków amen, czego wam życzy jeszcze

bogatszy Sruł Lewkowicz".

Czy tego chciał czy nie, Żyd Lewkowicz połączył w jedno historię landrynek z ogierem gwałcicielem kobiet, Tereską Rzepecką, Tadzikiem Badełkiem i jego ojcem Józefem. W jaki sposób? W taki, że to właśnie w jego tłoczarni oleju w Kale, po raz pierwszy w życiu mały Józio zobaczył pudełko landrynek. Potem zatęsknił za nim tak mocno, że doniósł tęsknotę do dorosłego życia i zamienił na własne pudełko.

Teraz, kiedy to już wiemy, możemy spokojnie wracać do Łaznowa, do dnia, który Tereskę Rzepecką uczynił poetką a Tadzia Badełka zakochanym głupkiem

Tadzik przyjął zamówienie na landrynkę, a nawet powiększył je o naddatek wynikły z dobrego serca i naiwności. Postanowił, że podaruje Teresce nie jedną a siedem landrynek („niech ma na każdy dzień tygodnia”), zaś ruchania weźmie za jedną.

- Tak zrobię - pomyślał, a potem jak pomyślał - tak uczynił.

Poszedł do warsztatu ojca, otworzył drzwi, zobaczył pudełko stojące na stole w miejscu wyznaczonym przez lata prób, podszedł do niego, wyciągnął rękę i zamiast pudełka otworzył ze zdumienia gębę. Został tak na parę dobrych chwil - roztrzęsiony, toczący ślinę z ust - póki szewc Badełek nie odłączył pudełka od prądu i nie odezwał się w te słowa:

- To nie są zwyczajne cukierki do ciučkania, tylko landrynki z fabryki w Żelechlinku, służące ważnej sprawie, bo szewskiemu rzemiosłu. Te cukierki są w moim życiu tym samym, co wykrawanie zelówek, nabijanie szpilek, formowanie cholewek i każda inna naprawa. W drodze od przyjazdu zepsutych trzewików ze świata, do zapłaty za reperację, są etapem tak doniosłym jak narodziny człowieka, dorastanie w życiu, starość, a potem śmierć. Są drobiną cyklu tak odwiecznego (tu szewc poniesiony falą wzruszenia trochę przesadził) jak odwieczne postępowanie godzin, dni, tygodni, miesięcy, pół roku. Rozumiesz teraz, że tak opisane przeze mnie jak je opisałem, są moje landrynki święte na równi z Rochową kapliczką i obrazem Matki Boskiej Przenajświętszej Pomocy. Czy wolno zatem wyciągać po nie łapę w sprawie ruchania Tereski Rzepeckiej? Nie wolno! Chcesz mieć landrynkę? Twoje prawo takie jak wszystkich.

Po tych słowach szewc sięgnął ręką do szczeliny między szafą na kopyta, a graniastym warsztacikiem i wydobyl z niej parę trzewików, już na pierwszy rzut oka odróżniającą się od innych.

To były buty nadzwyczajne, zasługujące na to nazwanie wszystkim, z czego je uczyniono: skórą licową (gęsta, tłusta, mocno garbowana), grubością szwu (woskowana na gorąco, potrójnie pleciona dratwa) i zelówką (jedna warstwa wołowej i dwie warstwy świńskiej słoniny).

Badełek podniósł je do góry, obejrzał pod światło, a potem podał synowi opatrzywszy słowem:

-To są nowe buty. Zrobiłem je dla ciebie najlepiej jak umiałem. Wzuj je, noś je, zedrzyj, zepsuj, przynieś do naprawy, naprawimy, dam landrynkę, pójdziesz, zanieś Teresce, poruchasz sobie pierwszy raz w życiu, poznasz, że to nic nie warte.

Już w chwilę po tej rozmowie Tadzik Badełek szurał podeszwami po Łaznowskich kocich łbach, by zetrzeć zelówkę na proch. Jeszcze tego samego dnia przemierzył dwadzieścia pięć kilometrów po asfalcie, szutrze, tłuczniu, kolejowych podkładach, błocie, betonie, lepiku, smole, gęsim pierzu i łajnie, gnojówce, tłuczonym szkłe, oleju, kwasie bornym, superfosfacie, polifosce i saetrze amonowej. Wszystko na darmo. Bury wyglądały tak, jak w chwili darowania ich synowi przez szewca Badełka. Były nietknięte.

Następnego dnia Tadzik wstał o świcie by kontynuować zmagania z nieludzkimi butami. Przez kolejne dni poddawał je próbie ognia, wody i powietrza. I to na nic. Buty nie ulegały, a ich wytwórca popatrywał z daleka, mrużył oczy, uśmiechał się głupio do syna i jego czarnej rozpaczy.

Tymczasem Tereska w oczekiwaniu landrynki podstawiła zadek dwunastu chętnym, aż się



znudziła czekaniem, przyszła do Tadzika i oznajmiła:

- Chcę landrynkę jutro o siódmej rano.

Jeszcze tego samego wieczoru powlókł się Tadzik pod nasyp kolejowy. Tylko taki pomysł przyszedł mu do skołatanej główki. Poczekał na towarowy, położył na szyny ojcowe trzewiki razem z własnymi nogami, a kiedy pociąg przejechał, nawet nie wzywał pomocy, bo mu się nie chciało.

Pielęgniarka w szpitalu miała na imię Helenka. Za przyjemność z Tadzikiem zapłaciła pudełkiem białych landrynek, a potem wzięła ślub z kimś innym.

Buty ocalały. Szewc zdjął je z odciętych stóp syna i nabił na kopyta. Do dziś czekają na nową sposobność udowodnienia swojej wyższości wszystkim innym butom świata.

### TRZY SZABLONY czyli oświadczenie w sprawie końca świata

Takiej miłości świat nie widział. Pośród rzeczy pewnych ta zajmowała miejsce gdzieś na początku. Przed nią pewniejsze były dwie, może trzy inne: że koniec świata nadejdzie w najgłępszej chwili, że Kufel spółkuje z własną córką, oraz może to jeszcze, że warto czekać na coś, bo: „na coś się człowiek w końcu doczeka”. Ta mądrość jak wiele innych wyszła z ust karbowego Matery Ludwika, który dał nazwę wielu rzeczom zanim zmarł, dokumentując tym jeszcze jedno pewne: że się umiera.

Z tym końcem świata (przy jego oczywistości) jednak nie wszystko było jasne. Bo co na przykład miał na myśli karbowy mówiąc o najgłępszej chwili? Jaka chwilę? A oświadczenie Szewczyka? Znał je przecież cały świat, bo znał Łaznow (tu się dzieje ta historia, w miejscu wrzuconym między dwie rzeczki: Piasecznicę i Wolbórkę, obydwie kręte jak świńskie ogony, przerośnięte trzciną, zamulone krowim łajnem na przełazach), znał Brzustów, Będków i Smyków, znały Łominy, Ciosny, Fraszki i kto tam jeszcze chciał znać, a wpadał w te strony po wiadomości, bo mu nie starczało złych nowin z własnego życia.

Oświadczenie Szewczyka podważało nadętą pewność karbowego Matery. Zanim Szewczyk je złożył (oświadczenie), zapisał nim trzy rymarskie szablony z tektury, bo nie miał papieru na podorędziu, a pisać mu się zachciało w jednej chwili.

Najważniejsze słowa trafiły na szablon od końskiego podogonia. Głupia sprawa. Takie ważne słowa a spisane na skrawku przeznaczonym na koński zad. No, ale trudno. Słowa były ważne, a przy tym tak ciężkie, że zapominało się przy nich o podogoni, rymarskiej pracowni, kopiowym ołówku, latarce naftowej, jesiennym powłóczystym wietrze, szczekaniu psów po polach, wilgotnej pierzynie, ponocnej mgle, Matce Boskiej Biedaków, wszystkim...

Oświadczenie Szewczyka:

„Ja, Jakub Szewczyk, rymarz z Łaznowa, oświadczam w sprawie końca świata, że JUŻ BYŁ.

Widziałem go trzy razy: pierwszy, drugi i trzeci. Za trzecim razem widziało go ze mną wielu ludzi. Koniec świata objawił się nam w komorach gazowych Auschwitz, z tym, że oni patrzyli nań od środka, a ja z zewnątrz. Taka różnica między nami pozostała do dzisiaj.

W innych sprawach się nie wypowiadam, bo mnie gównem obchodzą. Co dotyczy również głupoty karbowego Matery, słusznie uchodzącej za mądrość w tych odwróconych czasach.

Proszę o przepisanie mojego oświadczenia na papier i zwrot szablonów rymarskich według wykazu:

1. Szablon na podkładkę.
2. Szablon na obróbkę kleszczyny.
3. Szablon na podogonie.

Co potwierdzam własnoręcznym podpisem,  
Jakub Szewczyk.

Oświadczenie zaniósł rymarz do Łaznowskiej kolonii, bo tam się znajdowała chałupa karbowego. Poszedł trzy kilometry przez pola, doszedł, wywołał Materę przed dom, wybił mu dwa zęby z dolnej szczęki, obydwaj prawdziwe, położył oświadczenie w liczbie trzech zapisanych szablonów na ławce, a potem przemówił spokojnie:

- Dobrze, że się odezwałeś Ludwiku w sprawie końca świata, bo inaczej nie miałbym okazji wybić ci zębów za całkiem inne sprawy.

Rymarz nie wyjaśnił, co miał na myśli, ale też nikt nie dopraszał się wyjaśnień. Służyły za nie dwa krzyże walecznych zdobyte na dwóch wojnach i numer na przedramieniu zdobyty w obozie w Auschwitz.

To wydarzenie zmało niezachwianą dotąd wiarę w osady karbowego. Pospólstwo zaczęło wątpić. Zresztą od czasu wybicia zębów sam Matera wypowiadał się ostrożniej i nawet sprawę kazirodztwa Kufla przedstawił w szerszym świetle:

- Ludzkie postęпки człowiek osądza po ludzku, z błędem, bo tylko takie narzędzia ma w użytkowaniu, jakie ma. Pan Bóg nie daje wyjaśnień, ale wszystko wie. Jest jeszcze mądrość ludu i ona nam podpowiada, że córka Kufla to kurwa i powsinoga.

Po tych słowach dających otuchę Kufłowi, Matera wrócił na chwilę do niegdysiejszej pewności, że: „warto na coś czekać, bo na coś się w końcu człowiek doczeka”. Po przemyśleniu, opatrzeniu ostrożnością, nowe słowa brzmiały tak:

- Czekanie to gówniane zajęcie. Nie warto na nic czekać, bo człowiek liczy na życie wieczne, a Bóg mu wybija zęby ręką rymarza Szewczyka.

Jak oceniono po pogrzebie, te słowa były najmądrzejszymi w długim życiu Ludwika Matery. Zaraz po ich wypowiedzeniu zamilkł i nie odezwał się już nigdy.

Ale wracajmy szybko do pierwszego zdania, bo się nam opowiadanie rozejdzie. Sprawa miłości, jakiej nie znał świat (oczywiście w granicach opisanych przy okazji oświadczenia rymarza) zawarła się w losie Bożenki Malinowskiej i Janka z Nizin.

Bożenka była pięknnością niespotykaną. Tylko wracający z daleka potrafili na nią patrzeć bez zawstydzenia, bo napatrzyli się we wszechświecie innych urodziwości. Mleczna, ze skórą napiętą, wybujała, biało-zębna - paliła źrenice po równo: kawalerom, pannom, ojcom i dziadkom. Ale na nic się nie przemieniało to zawzięte patrzanie. Na żadne wesele czy gorącą miłość. Kawalerowie wiedzieli bez słów, że Bożenka nie dla nich stworzona przez Stwórcę. Nawet nie podchodzili na zabawach, bo i po co. Takie włosy, szyja, piersi, biodra, uda, stopy - nie mogły być dla nich pospolitych i przysadzistych. Co to to nie.

Więc mijały niedziele na staniu w kącie remizy, po nich miesiące i lata, a nietknięte dziewczęństwo Bożenki zbierało się do krzyku.

Aż stało się to, co musiało się stać.

W Sługockim lesie rozłożył się tabor z Cyganami. Do nich poszła Bożenka po miłość. I dostała z nadmiarem tego, czego jej tak brakowało. Dwunastu mężczyzn patrzyło jej bezwstydnie w oczy przez całą noc.

Cygańskie nasienie nie pomieściło się w brzuchu nieszczęsnej. Zmieszane z krwią naznaczyło grzeszną ścieżkę od Sługockiego lasu do Łaznowa.

Teraz świat się odwrócił na drugą stronę. Patrzeć na kurwę mógł każdy kto chciał. Nawet mali chłopcy wiedzieli, co robić. Zaraz po spojrzeniu w oczy dziwki opuszczali wzrok między jej nogi, sięgali do rozporków, wyluskiwali ptaszki i potrzęsali nimi ze śmiechem.

W takiej atmosferze Marysia Kufłowa wyrosła wkrótce na Marię Magdalenę, Kufla pokazywano jako wzór ojcowskiej troski, a kurnosa Gniewiszówna wyszła za męża, chociaż miała kołtun,

zepsute zęby i zawszone podbrzusze.

Świat zgłupiał.

Nie wiadomo, ku czemu prowadziły wydarzenia.

Niektórzy mówili, że ku końcowi wszystkiego, bo chwila głupia jak mało która, ale koniec świata nie nadszedł. Najwidoczniej ludzka miara na głupotę znacznie się różniła od miary boskiej, albo (to pewniejsze) do Pana Boga dotarło już oświadczenie Szewczyka.

Na szczęście, w to powszechne rozchwianie wartości wdarło się nowe wydarzenie: w Łaznowie pojawił się Janek. Któregoś dnia po prostu wyłonił się zza wybrzuszenia drogi - wysoki, gibki, czarnowłosy i czarnobrewy.

Pochodził z Nizin, miejsca znanego z opowiadań jako okolica szczęśliwości, ludzkiej dobroci i urodzajnej ziemi. Podobno dlatego tak rzadko spotykało się człowieka z Nizin, że żaden nie miał interesu zapuszczać się w gorsze strony. Tym sposobem wielu z Nizin nie знаło świata poza Nizinami.

Z Jankiem na szczęście było inaczej. I chociaż nigdy nie wyznał, jakie sprawy go tu przywiodły, to przecież trafił do Łaznowa w najlepszej chwili.

Już na drodze los postawił go twarzą w twarz z Bożenką. Akurat szła do sklepu po cukier, bo dobry Pan Bóg tak zarządził.

Stanęli, spojrzeli i od razu było wiadomo, ku czemu powiedzie ich to spojrzenie. Najpierw jednak milczeli przez siedem bitych godzin, po których Janek odezwał się drżącym głosem:

- Bądź moja.

- Przecież jestem. Nie widać? - odpowiedziała Bożenką, a potem dodała jeszcze:

- Musisz wiedzieć, że jestem potępioną kurwą z sumieniem przygniecionym na zawsze przez dwanaście cygańskich kutasów. Ksiądz gna mnie od kościoła, ludzie rzucają kamieniami, psy obwąchują jak sukę. Widać czują ciągle cygański pot na mojej skórze. Nie przeszkodzi ci to?

Janek nie odpowiedział. Zabrakło mu głosu, albo myśli, która głos porusza.

Milczał tak do dnia ślubu, przekazując dyspozycje na kartce i pieniądze na wszystko, co potrzebne: na księdza z drugiej parafii (dobry księżulo, mądry, o nic nie pytający), na orkiestrę, na salę w remizie, na suknię Bożenki, kielbasę, kaszanke, czarne, białe, wódkę, oranżadę, spirytus, torty, ślubne trzewiki, resorkę z parą siwków i wszystko inne, czego nie warto spisywać, bo nie o tym książka.

Przyszła noc po ślubie - zachwycona sobą i czułością kochanków. Uciszyło się wszystko by dać ciszę w weselnym prezencie. Jak srebro rozległ się głos Janka:

- Kocham cię oblubienico moja, ale lękam się twoich spojrzeń na innych i twoich słów do innych. Serce mi pęknie...

- Nie lękaj się ukochany.

Jeszcze przed świtem Bożenka wyklęła sobie oczy szkłem, żeby nie patrzeć na innych i odgryzła język, żeby nie odzywać się do innych.

Ledwo ją odratowano.

Warto wspomnieć na koniec o przyczynie, dla której Jakub Szewczyk składając Materze pamiętne oświadczenie zapisane na trzech rymarskich szablonach, wybił mu przy okazji dwa zęby w dolnej szczęce (obydwa prawdziwe). Otóż wyszło na jaw, że w czasie pobytu rymarza w Auschwitz, Matera złożył niestosowną propozycję jego żonie.

- Nie boisz się Pana Boga Ludwiku? - zapytała.

JOZEF POKUTNIK czyli sześć stacji do śmierci

Się zaczęła zima, przeszła jesień. Najgorsza z ostatnich. Była tak gładka i pozbawiona wydarzeń, że umieszczając ją w pamiętniku nauczycielka Lizakowa napisała: „Jesień utrzymała w równowadze społeczeństwo Ciosen i jego ludzkie sprawy. Nie powołała nikogo na szubieniczne drzewo, nie wyniosła jednych nad drugich i nie była przyczyną niczyjego upadku”.

W notatce brakowało wyjaśnienia, jaki upadek miała na myśli nauczycielka. Czy taki, który bywa skutkiem jesiennych przymrozków, czy może metaforyczny, opisujący człowieka w jego kruchym człowieczeństwie. Ta wątpliwość, choć poważna, nie odejmowała zapiskowi trafności. Taka rzeczywiście była ta jesień, więc proboszcz nie pokropił ani jednej trumny, nie namaścił ani jednej głowy i nie wypił wódki na żadnym weselu. Już w połowie października popadł w otepienie, ale zaraz się z niego otrząsnął, ogłosił dwa nowe święta (to dało parę groszy) i wydzierzawił kawałek cmentarza na posługę dla zwierząt. Zlecił też Gniewiszowi wyrób małych trumienek dla psów, kotów i owiec.

Wszedł w ten interes na dwadzieścia procent od obrotu i na sześćdziesiąt od drewna, które musiało pochodzić z kościelnego lasu. Na koniec zabronił zakopywania zwierząt w ogródkach, oraz puścił po wsi ministrantów, żeby spisali wszystkie psy i koty.

Nim doszło do końca spisu, kuria odwołała proboszcza, umieściła go w księżowskim domu starców, zaś na jego miejsce przysłała młodego księdza o twarzy świętego Józefa i tym samym imieniu.

Jak się wkrótce okazało, w mieszkaniu zamiast pieniędzy spoczywało przyrodzenie darczyńcy odcięte od ciała wraz z workiem mosznowym. Tym aktem samookaleczenia (jak później tłumaczył), chciał Socha odkupić winy synów i swoje własne. Nim zemdlał poprosił jeszcze, by po zasuszeniu powiesić genitalia na tablicy wotywniej wraz z odpowiednim opisem, wyjaśniającym intencję uczynku.

Ksiądz wzruszył się bardzo, obiecał rozpatrzyć prośbę dotyczącą kutasa, wyszedł z zachrystii, rzucił mieszek psom, potem przeklął grubym słowem. Modlił się przez całą noc. Nad ranem wydał komunikat:

„Ogłaszam, że w kościele tutejszej parafii pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny nie przyjmuje się części odciętych od ciała w żadnej intencji. Ogłaszam również przymus spowiedzi świętej, bo nie widzę otworów, przez które wpuścić w was światło, co znacznie utrudnia mi zamiar opisany w poprzednim ogłoszeniu. Śladem Ein Sofa wycofuję ciemność w głąb niej samej. Niech to nowożytny Cimcum uczyni w waszych duszach miejsce na światło”.

Cały dzień ludzie stali pod kościelną tablicą ogłoszeń próbując zrozumieć księżowski komunikat. Natężali głowy nawykłe do mniejszych wysiłków, marszczyli czoła, przerzucali się pytaniami.

- A jak już ta ciemność wycofa się w ciemność, to czy noc mniej będzie mroczyć? (Akurat to pytanie było marnotrawstwem rozumu, bo na odpowiedź wystarczyło poczekać do wieczora).

- Czy w ciemności znajdzie się dość miejsca na całą ciemność, czy może trochę jej zostanie.

- A jeżeli zostanie, to co z tą resztą uczynić?

- Czy wycofanie się ciemności w głąb niej samej nie naruszy równowagi światła?

- A jeżeli naruszy, to czy światło wzmocnione przez brak mroku nie wypali ludziom oczu?

To ostatnie pytanie najlepiej oddawało logikę myślenia pospółstwa. Brała się ona z przeczucia, że tak naprawdę ciemności nie da się nigdzie wycofać. Że zamieniona przez księdza na jasność i tak wróci sobą, czyli ślepotą. Ciekawe, że mądrość ludowa objawiona w podkościelnym wysiłku łbów, nie zapytała ani o Cimcum ani o Ein Sofa. Widać wyczuła obcość bytów ukrytych za tymi cudzoziemskimi słowami. Wolała raczej nie pytać, by nie uzyskać odpowiedzi. Zresztą, po co komu niewczesna gorączka, po co tęsknoty i rozdarcia, za którymi pojawiłyby się zaraz twarze pięknej Chuwci i rozpustnej Hawy, oraz wszystkie inne odsuwane z takim wysiłkiem na brzeg pamięci. Głupi ksiądz. Nie wie, co mógł poruszyć nie swoimi słowami.

Tak czy inaczej, wydany komunikat niczego nie zmienił, bo nikt go nie zrozumiał. Wkrótce na Ciosny spadł zmierzch. Przyszedł o porze właściwej, więc ludzie ruszyli spod kościoła do chałup, by dodać czekające tam smutki do noszonych pod żebrami bez ustanku. Pośród niepojętych znalazł się jednak człowiek, który rozumiał wszystkie słowa komunikatu. Bez wyjątku. Był nim Josele ze Sługockiego lasu, smolarz wypalający węgiel drzewny z buczyny, a także smarujący dachy wymyślonym przez siebie smarowidłem. Człowiek ów wybrał się do księdza Józefa, by stanąwszy przed nim odczytać krótkie przemówienie.

Jego treść, tak jak inne treści, znamy dzięki nauczycielce, która pochyliła się po kartkę upuszczoną w śnieg, a następnie wkleiła ją do pamiętnika, nie opatrując słowem komentarza.

Oto ona (treść przemówienia):

„Z ogłoszenia umieszczonego na kościelnej tablicy wynika, że ksiądz jest głupi i miesza ludziom w głowach. Jest Pan Bóg i jest stworzenie. Jedno i drugie zna swoje miejsce, bo wie, kim (czym) jest. A ksiądz chyba nie wie (czym), więc niech się dowie jak najszybciej. Człowiekowi nie potrzeba dziur do wpuszczenia światła, bo światło w nim jest. Tak samo jak ciemność. Nadmieniam, że moje przemówienie nie cofa obowiązku, którego się podjąłem w sprawie kościelnego dachu. Będę go smarował zawsze.

Josele Malinowski

Trudno w to uwierzyć, ale słowa Josele ze Sługockiego lasu trafiły prosto w serce księdza. Miał wprawdzie na podorędziu jakieś seminaryjne wyjaśnienia, ale nie użył ich, bo poczuł, że odbijają się od prostych słów smolarza jak od ściany.

Zawstydzził się, opuścił głowę, poszedł na plebanię zdjąć księżowską sukienkę.

O świcie, jako Józef Pokutnik, wyruszył w drogę.

#### STACJA PIERWSZA

Spotkał kobietę stojącą przy drodze. Spódniczka ledwo zakrywała jej przyrodzenie. Podeszedł.

- Jesteś Marią Magdaleną. Dam ci rozgrzeszenie.

- Jestem kurwą przydrożną. Czuć mnie potem i męskim nasieniem. Nie chcę rozgrzeszenia, bo nie wiedziałabym, co z nim zrobić. Nie spowiadaj mnie księżu.

- Już nie jestem księdzem.

- Jeszcze nim nie jesteś.

#### STACJA DRUGA

Spotkał Elę Jałmużniankę wracającą ze szpitala. Poznał ją po tabliczce zawieszanej na szyi.

„Jestem Ela Jałmużnianka, podwójnie zgwałcona przez braci Sochów, za co ich ojciec zapłacił odciętym członkiem. Wracam do Ciosen, by po uzyskaniu zgody rodzicielskiej osiąść w klasztorze karmelitanek trzewiczkowych. Przedtem ukończę jeszcze kurs fryzjerstwa damskiego, żeby siostrzyczkom klauzurowym zaplatać włosy, kiedy tylko zapragną. Wrzuć do skarbonki złotówkę na spełnianie moich marzeń”.

Wrzucił złotówkę ostatnią. Zamiast podziękowań usłyszał połajanie: - Źle zrobiłeś księżu z Soszynym mieszkaniem. Trzeba było wysuszyć nad piecem, a potem powiesić na tablicy wotywniej obok innych poświęceń. Czemu by takie sąsiedztwo przeszkadzało? Kuli chromego, okularom ślepeca czy może kamieniom żółciowym babki Politowej? Niechby wisiał sobie wyschły członek na pamiątkę bólu i odjętej męskości. Mało to? A tak... Poszło do ziemi razem z odchodami psa nakarmionego ludzkim poświęceniem. Dużo to?

Na żadne z pytań ksiądz nie odpowiedział. Przyjął połajanie, ucałował rąbek palta pachnącego szpitalem, poszedł w drogę.

#### STACJA TRZECIA

Spotkał dziada jak i on.

- Jesteś księdzem? - spytał dziad.

- Po czym to poznałeś?

- Po księzowskim spojrzeniu, księzowskim chodzie i gotowości do naśladowania świętych.

- Mam na szyi tabliczkę, z której czytasz? - Głupi jesteś, ale podzielę się z tobą chlebem, bo trzeba chodzić po ludzku, patrzeć po ludzku i czynić po ludzku.

#### STACJA CZWARTA

Spotkał budowniczego świątyni i zatrzymał się przy nim na dłużej. Budowniczy ów wznosił świątynię, jakiej świat nie widział. (Mowa oczywiście o świecie mniejszym, przydrożnym, rozpoznanym nogami). Miała ona kopułę jak słońce przecięte w pół i ciężkie sklepienie oparte na trzech rzędach kolumn.

Ziemia ledwo się oparła temu ogromowi. Ów wycisnął z niej sieć strumyków i rzeczek, a te wybrały sobie pola biedaków. Załamali ręce, bo świątynia tak wielka jak ich rozpacz.

Poszedł do nich Józef Pokutnik i zobaczył w piersiach biedaków kościoły równe wielkiej katedrze. Zobaczył też jeden większy, przykryty sercem jak prawdziwą kopułą. Ten należał do Marianny Zając ze wsi Licheń Mały.

- Czyje to dzieła? - zapytał.

- Pomniejszacza kościołów - odpowiedzieli.

- Gdzie mogę spotkać tego człowieka?

- Pod dębem na Okraju, przy glinianym dole.

Kiedy go odnalazł zobaczył mężczyznę małego wzrostu, ale wielkiej siły w spojrzeniu. Pomniejszyło ono Józefa do rozmiaru kamyka. Potoczył się do brzegu glinianego dołu, by z bliska spojrzeć na sprytnie dłonie świętego.

- Mam dużo roboty - odezwał się tamten. A wszystko przez durnia od wielkiej katedry. Muszę zrównoważyć ogrom budynku. Mechanizm jest taki - przeszedł do objaśnień - że wielkość i przepych tego kościoła onieśmielają ludzi. Wielu z nich nigdy nie pójdzie do świątyni, inni zatrzymają się przed jej progiem, jeszcze innym zabraknie odwagi na podniesienie wzroku. Zresztą słusznie, bo widok czteropiętrowego Chrystusa mógłby ich zranić śmiertelnie.

Co więc robię? Pomniejszam kościoły. Wszystkie, jakie znam: katolickie, prawosławne, muzułmańskie, żydowskie i wciskam je ludziom pod żebra. Czasem taką pomniejszoną świątynkę ulepię z kilku naraz. Wygląda toto nie najlepiej, ale jak się już umości w człowieku... Aż oczy się cieszą. Żeby dopasować rozmiar budynku do nosiciela, używam suwaka logarytmicznego. Rzadko, bo zwykle gołym okiem widać, co do kogo pasuje. A dalej wszystko już przebiega jak należy. Człowiek z pomniejszonym kościołem w sobie idzie do świątyni zewnętrznej. Nie ma poczucia, że jest zbyt mały na obcowanie z nią. Te moje cudeńka przywracają proporcje. Dobra robota. Trudna, ale dobra

- ocenił sam siebie, wycierając uwalane gliną dłonie w fartuch.

- A ja? Czyja mógłbym? Czy do mnie?...

- W tobie za mało jeszcze miejsca. Co ja mógłbym tam wcisnąć? Kapliczkę przydrożną? Zrób więcej miejsca człowieku.

#### STACJA MARIANNA - przedostatnia z sześciu.

Wrócił do przysiółka Licheń Mały, by raz jeszcze spotkać się z Marianną.

Tej nocy wdarł się w jej kobiecość. Rano obudził się przy glinianym dole. Wargi miał spękane solą z jej pleców. Kiedy zobaczył gliniany kościółek, nie od razu pojął, że to dla niego.

- Więc grzech miałby uczynić we mnie miejsce na świątynię?

- Nie grzech, a miłość - odpowiedział ktoś za jego plecami.

#### STACJA SZÓSTA

Powędrował nad morze. Tam go zaniósł nogi. Nabrał wody do butelki.

Kiedy wrócił do domu napierała już jesień. Niebo naznaczone ptasim odlotem przygniotło go. -  
Dobre miejsce wybrałem - pomyślał.

Ciosny nie znalazły sobie nowego księdza. Zła sława parafii rozniosła się po świecie. Nikt nie  
chciał zapaść w ten odmęt szaleństwa.

- „Tam się wariuje” - szeptano po seminaryjnych korytarzach i klasztornych ciemnicach.

Kiedy ogolił brodę był już w połowie księdzem. Wybrał się na zwierzęcy cmentarz, odkręcił  
butelkę i pokropił ziemię morską wodą. Tym symbolicznym aktem przywrócił psich i kocich  
nieboszczyków na należne im miejsca. W tamtej chwili był już księdzem w dwóch trzecich z  
całości.

Pod wieczór poszedł do starego Sochy, by przeprosić go za grzech zaniedbania.

- Nie gniewam się - powiedział Socha. -W końcu nic wielkiego się nie stało. Lekarze wszyli mi  
rurkę, przez którą sikam według potrzeby. Szkoda tylko, że razem z przyrodzeniem psy zeżarły  
mieszek. Bardzo był dobrze uszyty i starodawny. Zresztą, niech tam... Same korzyści proszę  
księdza z tego odcięcia kutasa. Jałmużnianka znalazła powołanie w karmelu, a moich urwisów  
przyjęto do szkoły wojskowej z internatem. Same korzyści...

Józef uśmiechnął się do Sochy. W tamtej chwili był już księdzem, w trzech trzecich z całości.

O świecie znaleziono go pod murem kościelnym. Przeciął sobie żyły.

- Dobrze zrozumiał moje słowa - orzekł Josele ze Sługockiego lasu i poszedł smarować dach  
kościółka.

## MIŁOŚĆ ANTONIEGO, ŻYCIE JANA, ŚMIERĆ CYGANA

„Są historie, które zaczynają się wcześniej niż ludzka pamięć, dalej niż Sługocki las i ciszej niż  
różaniec odmawiany w myślach”.

Tę mądrość poznali ludzie z ust Józefa Szymorka, najlepszego bazarza w świecie, jeżeli za świat  
uznać Sługocice i dookolną przyległość.

To nie był wielki świat, ale jego rozmiar całkowicie ludziom wystarczał. Słyszeli coś wprawdzie  
o tym większym, wyniesionym poza granice Sługocic, ale nie pytali, bo jak zapytać o bezmiar?  
Tu, w świecie mniejszym, czuli się bezpiecznie. Odkąd pamiętali, mieli na podorędziu  
odpowiedzi na każde pytanie. Niestety, nie leżały obok nich (pod nimi) odpowiedzi na pytania z  
czasów niepamiętnych.

Ktoś kiedyś nie dopatrywał i nie doniósł ich do granicy, od której zaczynało się Sługocickie  
„zawsze”.

Szkoda, bo właśnie tam, w niepamiętnych czasach, posiało się ziarno historii Jana Marczyka syna  
Antoniego i Bezimiennej. Na szczęście Szymorek miał zawsze w kieszeni trochę starożytnej  
Bierni.

- Gówniana wasza pamięć... Grzbiety wasze przygięte do ziemi, dłonie twarde, oczy wypalone od  
soli. Nie znacie miłości, bo nie zdarzyła się między wami. Małe i codzienne, zaranne i  
przedwieczne, spocone i zatechłe, wyschnięte i popękane - wasze życie.

Wyobraźni starcza wam na Czarnolicą Matkę, wiary na „Ojczyzna nasz”, a nadziei na jeden nocny  
krzyk.

Rozgniatałam pacynkę starożytnej ziemi. Co w niej tkwi? Jaka pamięć? Czym wzbogaci wasze  
życie?

### Miłość Antoniego

Pamiętnym dniem był październikowy wtorek tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku.  
Tego dnia Antoni Marczyk, ojciec nienarodzonego jeszcze Jana, kręcił się po obejściu i  
przeklinał pod nosem. Niebo niesło burzę. Wielką. Antoni znał się na tym, bo zadzierał głowę od

dziecka. Tym osobliwym zajęciem odpędził od siebie wszystkie kobiety, aż minął czas kawalerki i zostało mu tylko niebo. Do towarzystwa dołączył dwa gniade bachmaty i tak żyli jak się dało.

Lubił konie. Chyba bardziej niż ludzi. To dla ich spokoju nauczył się przepędzać chmury. Robił to siłą „żywota”, jak sam w myślach nazywał swoją zdolność. Mieścił się ten „życie” w brzuchu, po środku, niżej niż serce, ale bolał tak samo, a może jeszcze mocniej.

O tym, tak jak i o wszystkim innym Antoni nie opowiadał. Nie lubił mówić. Za to lubił patrzeć. Strachu koni w czas burzy dopatrywał się w dzieciństwie. Właśnie przez ten koński strach pochował braciszka. Konisko zlekło się gromu, skoczyło w bok, przycisnęło Heniutka do ściany stajni, aż krew buchnęła z uszu. Niczemu niewinne, głupie konisko poszło na rzeź w jedną stronę, a Heniutek na cmentarz - w drugą. Jak tego nie pamiętać? Nie dało się. Więc pamiętał Marczyk jak dziecko, chociaż kończył już pięćdziesiąt dwa lata.

Wielka burza nadeszła od zachodu i jak żadna dotąd - nie dała się przegnać znad dachów. Marczyk zrobił wszystko, co należy, jak prawdziwy planetnik, chociaż nie wiedział, że tak się nazywa jego rzemiosło. Wciągnął powietrze nosem, wypuścił ustami, stanął na podwórku w rozkroku, nateżył życie i wypuścił cieniutką strzałkę prosto w najczarniejszą chmurę. Nawet doszła strzałka do celu, przebiła chmurę, otworzyła niewielki korytarz, przez który puścił się słoneczny promień w odwrotną stronę. Ale tylko tyle. Wtedy chłop zrozumiał: ta burza była zbyt wielka.

Za chwilę gromy zaczęły celować prosto w podwórko. Ale Marczyk był już w stajni, przy końskich łbach, zajęty wpuszczaniem do uszu uspokajających zakłęb.

Przez najbliższe godziny czarne niebo wisiało nad obejściem i zliło jak chciało: strumieniami deszczu, błyskawicami, a nawet gradem, który później topniał przez tydzień. Gniade konie trzęsły się ze strachu, choć człowiek uspokajał jak umiał.

Właśnie szeptał najważniejsze zakłęb, kiedy drzwi stajni zaskrzypiały i do środka weszła kobieta.

Kobieta... Takie słowo uwolnione od innych słów nie mogło opisać tej, która weszła. Dookoła żyły kobiety pospolite, z urodą rozkwitającą na zbyt krótko, by można je było pamiętać. Potem nosiły mleko w piersiach i jeszcze przez chwilę były ładne, aż brzydły w jeden wieczór - pospiesznie, bezwstydnie, nie wiadomo dlaczego.

Na opisanie tej, która weszła, nie wymyślono ludzkich słów.

Marczyk rozumiał to od razu i w tej samej chwili pożalował lat spędzonych na patrzeniu w niebo. Żaden z widoków zobaczonych przez te lata nie nasycił go tak, jak to jedno zauroczenie.

Była Cyganką. Miała dwadzieścia lat, czarną pleć i płonące węglaki zamiast oczu. Kiedy weszła, najpierw spaliła nimi serce Marczyka, potem zrzuciła ubranie.

Pomieszali swoje ciała w zapamiętaniu i bezwstydnie. Sprzęgnięci jak psy ranili się do kości, pili spod skóry krew zmieszana z wodą, przyjmowali i dawali komunię z żywego nasienia.

Tak było aż do świtu, kiedy ostatnie krzyki kochanków wymieniły się z echem odchodzącej burzy. Wtedy zasnęli.

Marczyk obudził się za późno. Zrozumiał to, kiedy nie zobaczył Cyganki, a tylko dół wyleżany w słomie. Odeszła cichutko, zostawiając po sobie piekący życie w brzuchu chłopca. Tak miało być zawsze.

Na razie jednak przeszły trzy lata, przez które Marczyk zajmował się życiem codziennym ani razu nie przekraczając miary. Wiosny i jesienie przychodziły po kolei, rzucone ziarno wracało zbożem, rzucone myśli tęsknotą. Było jak było. Marczyk polubił nawet ten strzelisty kościół w środku własnego brzucha. Wyobrażał go sobie jako ceglany budynek, którego sklepienie podparte ludzkimi żebrami ochraniało ją - Matkę Boską Nagłej Miłości.

Nie odeszła. Została. Zamieszkała.



Napełniony takim szczęściem mógł Antoni przeżyć jeszcze niejedyn rok, ale los zarządził inaczej.

Któregoś dnia ktoś postawił przed drzwiami chałupy trzyletniego malca z kartką przypiętą do kapociny: „Janek - Cyganek. Pamiętasz?”

Czy pamiętał? Nic innego nie robił od dnia przebudzenia.

- Pamiętam - wyszeptał w niebo, potem spojrzął w czarne oczy syna, a te spopieliły mu serce do reszty.

Dobrzy ludzie ze Sługocic pochowali Marczyka, przygarnęli bydłeta i opluli cygański pomiot.

### Życie Jana

Cyganek dorastał jak bydłatko - w stajniach, oborach i stodołach. Dojadał też ze stworzeniem. Krowom podbierał słodką brukiew, koniom owies, świniom parowane ziemniaki z otrębami, dopijał mlekiem z krowiego cycka i śladem ojca - gapił się w niebo.

Ludzie o nic go nie pytali, bo też nie zachęcał do pytań. Prawdę mówiąc mało kto miał odwagę spojrzeć w jego nocne oczy. Wykładali więc za progi co mieli nie podnosząc łbów, potem z ulgą zamykali drzwi i wracali do jaśniejszych spraw, czyli do wszystkich innych.

Tak miały się sprawy z Cygankiem przez całych dziesięć lat, przez które nie zamienił z ludźmi ani jednego słowa.

W trzynastym roku życia pojawił się nagle w obejściu Marczyka, by odebrać ojcowiznę. Stary Stępień, który wziął sobie budynki Marczyka, od razu opuścił łeb. Nie umiał wytrzymać wzroku Cygana. A Cygan tylko patrzył. Nic więcej.

Przez następne lata zajmował się ziemią po ojcu. Pracował bez radości. Pochylał się nad pługiem, broną, płachtą siewną. Nie przyjmował pomocy od nikogo, bo też nikt jej nie chciał dawać. Jedyne jego radością były konie, których kupił pięć sztuk i krzyżował między sobą. Wkrótce dorobił się rasy mocnej i hardej. Bywało, że sprzedał źrebię, jeżeli kupiec umiał targować bez użycia słowa. Bywało też, że puścił konia wolno, szepcząc przedtem do ucha jakieś czarne zaklęcia. Ludzie spotykali potem konie mroczące po polach, nie dające się obłaskawić najlepszym słowem ani najlepszym ziarnem.

Przez życie Cygana przechodziły też kobiety. Od kiedy skończył szesnaście lat, same zgłaszały się po swoje i wszystko im było jedno gdzie rozkładały nogi.

Brał je jak chciał, bo posłuszniały przy jego smagłym ciele i końskim przyrodzeniu. Krzyczały z bólu, przyzywały na pomoc mężów, braci, kochanków, Jezusa Chrystusa, a potem przychodziły drugi raz.

Niejedyn chłop ostrzył siekierę na Cygana, wybierał się w drogę, stawał przed skurwysynem i podnosił wzrok. Na tym się kończyło.

Tak było aż do lata tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku. Jan Cygan żyjąc po swojemu, skończył dziewiętnaście lat. Akurat w dzień jego urodzin do Sługocic zajechali Cyganie. Tabor rozłożył się w Sługockim lesie na jedną noc. Cyganie rozpierzchli się po obejściach, wrócili pod wieczór, z kurami, kaczkami, gęśmi i wiadomością o cygańskim mieszańcu.

Jan czekał w rozgrzanej stajni. Tak mu nakazał piekący żywot, jedyne dziedzictwo po głupim ojcu.

Nie wiedział wprawdzie, na co czeka, ale czuł nieomylnie, że na coś ważnego. I tak było. Wkrótce wrota zaskrzypiały. Do stajni weszła kobieta. Miała twarz cygańskiej świętej - śniadą, zuchwałą i grzeszną. Patrzyła prosto w oczy, a nie między nogi Jana. Od kobiet poznanych do tej pory, odróżniało ją też wszystko inne.

Potem stało się to, co warte było przeszłego i przyszłego życia.

Jan Cygan Marczyk nawet nie wiedział skąd wie jak się oddaje miłość. Oddał całą.

Rano otworzył oczy i nie zobaczył niczego. Nie zmartwił się, bo na świecie nie zostało już nic

wartego zobaczenia.

### Śmierć Cygana

Wiadomość o ślepcie Cygana rozeszła się szybko.

Wkrótce ruszyły zastępy rogaczy. Każdy trzymał w dłoni śmiertelne narzędzie. Nim doszli Cygan odgryzł sobie język. Zabili więc trupa, rozpedzili konie, spalili obejście, a język wrzucili do studni.

Od tej pory podkradają się miodki do zatrutej studni, wyciągają cygańską wodę i obmywają spragnione łona.

## TRYPTYK Z CZARNĄ EWULĄ PO BOKACH

### I

#### Lewa Ewula

Każdy tam miał swojego za skórą ile potrzeba - w tych „Lepiankach”, jak o Lipiankach mówili pogardliwie ludzie z lepszych wsi. Muszyński przymuszał do łóżka własną córkę, Mierzwa przykrajał z dworskiego skibkę za skibką, aż mu się zgrabne stajko przykleiło do własnej półmorgi, Pasiasia każdej niedzieli rozpinał rozporek pod kapliczką. Aż nudno opowiadać.'

Pasiasia miał powód. Złość na proboszcza, który mu zbałamucił Ewulę. Czarne było dziewczynisko, pełnej chłopskiej krwi, narowiste, zdatne do nocnej roboty. Nie dziwota, że księżulo się uparł. Zmamił odpuszczeniem grzechów i księżowskim szykiem. Poszło Ewulisko na lżejszy chleb, najadło się do syta, opilo mądrych słów nigdy dotąd nie słyszanych, pokraśniało na początek z radości, zbladło potem nagle, kiedy przyszło to dziwne zaszczepienie, że nie szło inaczej, jak tylko wystawać każdej nocy pod proboszczówką i wyć z tego straszego nieszczęścia.

W miastach nazywali to „miłością”. Ewula widziała kiedyś coś takiego w kinie. Bo kino zajeżdżało do Lipianek z Będkowa. Ale o tym za prędko.

Pasiasia był głuchoniemy. Tylko Ewka znajdowała dobrą wolę, by się napatrzeć jego „gadania” i nautawać, że rozumie. Czasem nawet dopuszczała głupka do siebie. Nie do wszystkiego rzecz jasna. Najwyżej rękę położyć na tyłku i to na jednej półkuli. W lepszych wsiach mówili wprawdzie co innego, ale kto tam nadaży za ludzkim gadaniem. No, może ze dwa razy dała sięgnąć pod majtki, do czarnego trójkąta. Ale ręce miał Pasiasia miłe. Roli nie obrabiał, ligawki ze świeżego kasztana majstrował zgrabnie jak mało kto, to może ze dwa razy wpuściło Ewulisko te miłe ręce pod koszulę i może z raz jeszcze głębiej. Ale żeby od razu sikać na świętego Rocha? Bo taki znalazł Pasiasia sposób. Tak się mścił na księdzu. Każdej niedzieli ubierał się w kościelne ubranie z białą koszulą i wyglansowanymi trzewikami. Szedł pod kapliczkę, rozpinał rozporek i sikał wesolutko dokładnie na sam łeb świętego Rocha.

Sam go wyrobił z lipowego drzewa. Lipy było w Lipiankach pod dostatkiem. Rosły stulatki mocnymi rzędami, wspinały się do nieba. Jak lato mocarne, to aż deszczem kapał słodki syrop. Więc wyrobił Pasiasia z lipy świętego Rocha jak się patrzy. Wyciągnął kształt ośnikiem, podgrabił toporkiem, oczarował dłutkiem i szewskim, cieniutkim szmergielkiem. Wyszło Roszysko jak z odpustu - takie piękne.

A że japę miało księdza, to tylko paru mądrych mogło się dopatrzeć. I na tę rozdziawioną Rochową japę sikał Pasiasia wesolutkim strumieniem każdej niedzieli.

Potem zwykle zmieniał ubranie na codzienne i w tym codziennym szedł dwanaście kilometrów na Łaznowski cmentarz.

Tam leżało Ewulisko w bocznej alejce - spokojne już i nie przeszkadzające nikomu. Tam płakał zawsze Pasiasia. Niedługo, bo czas było wracać do Lipianek.

Podobno płakał też bez głosu.

## II

środek

Wielkiego trzeba pióra, żeby opisać Lipianki. Miał takie pióro pan Reymont, co tu mieszkał niedaleko, w Prążkach, koło Łaznowa. W żadnych tam ichnich - Lipcach. Tam może przejechał ze dwa razy, poglądając łaskawie z furki i może nawet nie zwieszając nóg za boczek, żeby błotem nie uwalać. Co pewne to pewne.

W Łaznowie schodził z pociągu i prosto do organistówki walił, bo tam zacny ojciec pana Władysława na organach za organistę robił. Rzeźbił w duszach tą muzyką, przerabiał na anioły tych tam - Sońtów, Balcerków, Michałusów i Sochów - aż miło było patrzeć.

Jak będzie potrzeba to sam przysięgnę, że nie raz widziałem ten bieluchny pył wyrwany z chłopskich skrzydeł i puszczonego samopasa na wiatr. Latał sobie gdzie chciał, zapadał w ziemię razem z ziarnem i w tych miejscach pszenica puszczała się w biele najbielsze i żaden tam kąkol nie miał prawa zamieszkać.

A jakie potem bułki wyrastały kobietom w nieckach. Jak dziecisko objadło się takiej przy świętach i dopiło ciepłym mlekiem prosto z krowiego cycka, to unosiło się zaraz na ziemię jak świńska macherzyna. Ten puch tak unosił, że aż.

Najwyżej poniosło Ewulę jak była dzieckiem. Czarna taka, a tak bielutko się podniosła. Dwanaście centymetrów! Cała wieś mierzyła. Kowal Andryszek przyleciał ze specjalną, sposobną miarką, co się nie wydłuża na działanie ciepła. Z jakiegoś egipskiego drzewa wyrobiona. Było i na tej miarce dwanaście.

Potem ksiądz - ten, co to później Ewulę zbałamucił - wykladał, że u Ewy dusza najczystsza i najlżejsza przy tym, to i najwyżej się podniosła. Ale co z takiego gadania, kiedy poniewczasie i z gorącym oddechem przy uchu.

Małej Ewci trzeba było mówić, że dusza u niej biała i zabiegać, żeby duszy nie zakruczyć. Ale zakruczyły i zawroniły ją ludzkie gadania i ta wiejska niewola, co nijak nie da się duszy ostać w bieli.

## III

- prawa Ewula

Było raniutko. W Niebie czekały burki. Jakoś tak za mgłą, bo nisko i matowo niosły się głosy. Ewula nadeszła od lasu. Stąpała delikatnie, żeby nie daj Boże, nie obudzić kogo w chałupkach. „Kogo bądź” - myślała, bo trudno jej było domyślić się gospodarzy w tych miluchnych chałupkach, takich samych - kropka w kropkę - pod równiutkimi, złotymi strzechami.

Pierwszy raz szła Ewula do Nieba, to nie mogła wiedzieć, że akurat Czyściec bokiem mijała, rozłożony w chałupkach pod złotymi strzechami.

Rosa już zeszła. Skąd zeszła? - zamyśliło się Ewulisko, ale nie myślało więcej, bo już w nos puknął ten słomiany, wilgny zapach i zaraz się zrobiło wszystko jedno skąd zeszła rosa. Ważne, że zeszła tak miło. Widać jest jeszcze wyżej jakieś „wyżej”. Gdyby szła do nieba z miasta, pomyślałaby może: „widać jest jeszcze wyżej jakieś piętro”. Ale piętro było najbliższej Lipianek w Popielawskim pałacu, a tam nie dane było Ewce zaglądać.

Piękna była Ewcia, jak tak sobie szła w Niebie równo dwanaście centymetrów nad ziemią.

Włosy miała z kruczego pióra, podbite niebieskością przy samej skórze. Czerniały nieprzyzwoicie, zadawały rany innym kolorom, mniej zdatnym na taką śmiertelną okazję.

Przy tym buzię miała zdziwioną i odęte usta.

O buzi trzeba było osobny poemat. Tak udatne japule wyrabiał chyba Pan Bóg nieczęsto. Może, kiedy mniej był zajęty innym stworzeniem. A że często był zajęty - długo by szukać po wsiach

drugiej takiej japuli jak Ewcina. Dość powiedzieć, że nawet madonny ze świętych obrazów usychały czasem z zazdrości, a nocami przymuszały nawet ludzkim głosem, żeby Ewkę pognać ze wsi.

Ale wiejski lud niegłupi. Szedł grosz z garści do garści, aż na koniec przyjeżdżał biskup i wodą święconą zamykał usta obrazom. Starczało tego na rok, póki woda święcona nie przeschła. Potem znów słyhać było po chałupach szczucie na „czarną dziwkę” i różne inne wszeteczenie. Ale to podobno więcej od diabła sprawa, niż od Pana Boga.

Biodro by jeszcze trzeba opisać - bujne, sposobne do nasadzania Ewci gdzie potrzeba. To nasadzali chłopcy, perkalem oczy mącąc i słodkim cukierkiem w celofanie. A na piersi jakie słowa? Z daleka pachniały młodym mlekiem i kusiły kołysaniem ciężkim, powolnym.

Niosły te Ewcinie cuda dwie nogi jak kolumny z białego marmuru, akurat takie

- kropka w kropkę, jak te, co stały pod wejściem do Popieławskiego pałacu. I choć masywne, ciężko sklezione w udzie, to w pęcieniu cieniutkie jak u dworskich koników.

Jak szła, tak doszła pięknie. Aż zaboląło serce świętego Piotra - przecież chłop na koniec. Zatrzymał przy bramie z wysokimi sztachetami. Wejrzał jasno spod krzaczastych brwi i dopiero napatrzywszy się do syta, odezwał się w te słowa:

- A co ty, Ewula? Na bosy do nieba idziesz?

- Wy pewnie święty Piotr, odźwierny? A na bosy idę, bo na brzegu trzewiki zzułam, jak się do wody rzucałam. Może ktoś przejdzie, to znajdzie. Zdatne jeszcze do chodzenia. Szewc Mazurek zelóweczki podsprawi, ciemnym lakiem oblakuje, to użyje, kto jeszcze moich kamaszków. Niech mu pójdzie na zdrowie.

- A czego ty Ewula do nieba się sposobisz? To nikt ci tam nie naszeptał, że do Nieba droga nie prosta. Pięknie żyć trzeba, jeszcze piękniej zejść ze świata, a i wtedy nie masz żadnej pewności...

- A kto niby miał powiedzieć święty Piętrze? Chłopy to ino świństwa naszeptywali i do komór ciągnęli, żeby sobie ze mną ulżyć. Babom zmarszczki wyciskały się na czołach i tylko o tym myślały, jakby mi urody odebrać. A ja się o urodę nie prosiłam. Wzięłam, co Pan Bóg dali. Że hojnie dali - ich sprawa. Niech sobie teraz ze mną radzą w Niebie, bo bez wpuszczenia nie odejdę. Żyłam jak umiałam, a ze świata zesłam pięknie, z Panią Wodą w uściskach. Nie masz żadnej przeszkody, żeby mi furtkę do nieba otworzyć.

-A mam Ewcia, mam jeszcze niejedną. Choćby taką, że z własnej ręki życie zakończyć - grzech śmiertelny...

- Niech mi święty głupstw nie gadaj ą. A kto niby miał zabić? Prosiłam się nie raz i niejednego. Nawet tego waszego, przez którego mi serce pękło. A słyszał kiedy święty jak serce pęka? Słyhać na kilometry, a specjalnie pod zmierzch, kiedy mgła się kładzie na wszystkim. Aż się psy postrachały, jak mi serce pękło z rozpaczy. Taki był huk donośny. Podobno do stacji w Łaznowie doniosło i dróżnik ze strachu zapory położył, aż go chłopcy zrugały, że przejazdu nie ma i nie ma. To jak potem żyć z takim pękniętym sercem. Krew się przelewa i przez stopy wchodzi w ziemię. Krwawych śladów narobiłam w okolicy. Z góry dokładnie widać gdzie chodziłam z tą swoją krwawą rozpaczą. Ale nikt nie chciał dobić. Nawet z tych, co wcześniej wygrażali po wsiach. To z czyjej ręki miała mnie śmierć spotkać Jak nie z własnej? Niech mi święty powiedzą. Jak mi powiedzą słusznie, to może odejdę.

- A czego ty kobieto tak się do Nieba pchasz na siłę? Nie masz innego miejsca w okolicy? Ja liczę i liczę i nijak nie mogę się doliczyć zasług. To powiedz mi nareszcie, czego ty się tak do Nieba pchasz na siłę? Jak powiesz słusznie, to może na Pismo oko przymknę i wpuszczę boczną furteczką.

- Na siłę się nie pcham, bo jeszcze nie masz Święty juchy pod nosem. A do nieba potrzebuję się dostać, żeby chociaż raz polecieć wyżej niż dwanaście centymetrów z kowalowej miarki. Raz

tylko polecę, popatrzę sobie. Może gdzieś mój miły chodzi po polach. Puszczę łzę z góry. Niech się miły w niej ukapie. Może to mu duszę wybieli. Więcej mi nie potrzeba. Żyłam jak potrafiłam, a umarłam pięknie - z Panią Wodą w uściskach.

Nie miał święty Piotr więcej pomysłów na rozmowę. Uchylił maleńkiej furteczki tak, że na czworakach weszło Ewulisko do Nieba.

Od tej pory jak deszcz idzie na wiosnę, to niektóra kropla słona, bo z Ewczynego płaczu zrobiona.